

**RUDYARD  
KIPLING**

STALKY I  
SPÓŁKA

Rudyard Kipling

**Stalky i spółka**

«Public Domain»

## **Kipling R. J.**

Stalky i spółka / R. J. Kipling — «Public Domain»,

Kipling przenosi czytelnika w realia XIX-wiecznej angielskiej szkoły z internatem dla chłopców. Tytułowy Stalky i jego przyjaciele przeżywają wiele zabawnych, a także dających do myślenia przygód, pokazują młode lata chłopców w świecie, który dla współczesnych nastolatków jest zupełnie obcy. Opowieść o Stalkym i jego kolegach pokazuje jednak, że skłonność do psot, ciekawość świata i przyjacielska solidarność u młodzieży są uniwersalne. Stalky i spółka to utwór z 1899 roku, inspirowany szkolnymi wspomnieniami autora, ukazujący zarówno przygody chłopców, jak i wartości wychowawcze, ale także autorytaryzm ówczesnych szkół. Kipling zasłynął przede wszystkim jako autor Księgi dżungli, jego twórczość była kierowana głównie do młodzieży.

© Kipling R. J.

© Public Domain

## Содержание

W zasadzce	7
Niewolnicy lampy	24
Część pierwsza	24
Niesmaczny epizod	36
Конец ознакомительного фрагмента.	38

## Rudyard Kipling

### Stalky i spółka

*„Wielkich Ludzi, pieśni, chwał”  
Małego imienia,  
Bo ich dzieło rośnie wciąż,  
I ich dzieło rośnie wciąż,  
W głąb i wszecz się krzewi wciąż,  
Ponad ich marzenia.*

Wiatr zachodni, morza szum  
Wyrwały nas matkom,  
Rzuciły na nagi brzeg —  
Tuzin domów, gdzie ten brzeg,/ a lat siedem marzył w nich człek  
Z uczniacką czeladką.

Sławnych ludzi był tam rój,  
Wielkiej uczoności;  
Wzięło się tam dużo trzcín,  
Wciąż słyszało się świst trzcín,  
Nikt nam nie żałował trzcín<sup>1</sup>,  
Ze szczerej miłości.

Od Egiptu aż po Pont  
I przez Himalaje —  
Pełno ludzi z naszych gron,/ Brazylia i Babilon,  
Wyspy czy też Andów skłon,  
Wszędzie nasz człek staje.

Wielkim Ludziom sława wciąż:  
Cześć, Starzy Koledzy!  
Pokazali nam, w czym rzecz,  
Nauczyli nas, w czym rzecz.  
Prawda, Boga Wielka Rzecz,  
Ważniejsza od Wiedzy.

Szerokości każdej znak  
Wybity na świecie,  
Widział już któregoś z nas,  
Zawsze najlepszego z nas,  
Zawsze w pracy, aż po pas —  
Wszędzie nas znajdziecie.

A to dał nam każdy mąż

---

<sup>1</sup> *Nikt nam nie żałował trzcín* – mowa o biciu uczniów trzciniową różgą, uważanym przez wieki za doskonały środek wychowawczy.  
[przypis edytorski]

Od ćwiczeń i słówek:  
Pracy zawsze wiernym bądź.  
Swe zadanie zawsze skończ,  
Bez żadnych wymówek.

Czy sztabowiec, czy też szpieg,  
Czy człowiek podkopów,  
Stał z królami twarzą w twarz,  
Rzekł: – mam szrapnel, co ty masz?/ Był to zawsze człowiek nasz,  
Co najtęższy z chłopów!

Uczono nas w kraju wciąż,  
Niezliczone razy,  
Że najlepszą rzeczą jest  
I najprościej zawsze jest,  
Najzdrowiej, najmądrzej jest:  
Czcic wasze rozkazy.

Drudzy, w krajach obcych słońc,  
Mają większe sprawy,  
Służą dzierżąc ziem tych rząd,  
(Wierna służba – oto rząd!)  
Miłość, wierność dzierży rząd,  
Bez zysku ni sławy.

To wpoili mistrze nam,  
Nie wiem, jak i kiedy,  
Lecz poznałem z biegiem lat,  
Dojrzewając z biegiem lat,  
Że to owoc szkolnych lat,  
Że to było wtedy.

Przeto czcijmy mężów tych,  
Ducha Wspaniałego,  
Co wzgardzili swoim Dziś,  
Zapomnieli swoje Dziś,  
W pracy zdarli swoje Dziś,  
Dla Jutra naszego.

## W zasadzce

W lecie wszyscy chłopcy, jak się patrzy, budowali sobie za liceum chaty na wydmach porośniętych żarnowcem. Były to właściwie małe gniazdzka, wycięte kozikami w gąszczu kolczastych krzaków, pełne kikutów, splątanych korzeni i cierni, ponieważ jednak budowanie ich było surowo zakazane, uważano je za rozkoszne pałace. I przez pięć lat z rzędu Stalky, M'Turk i Beetle (było to w czasie, zanim jeszcze zaszczycono ich osobną pracownią) budowali jak bobry samotną świątynię dumania, w której palili fajki.

Jednakże Mr. Prout, dyrektor ich domu, nie miał o nich zbyt dobrej opinii, a także Foxy, szczywany, rudy sierżant szkolny, niezbyt im dowierzał. Nosił tenisowe pantofle, uzbrojony był w lornetkę, a zadaniem jego było krążyć jak jastrząb nad niegrzecznymi chłopcami. Gdyby on sam w pole wyruszył, chata zostałaby z pewnością osaczona, bo Foxy znał zwyczaj swej zwierzyny. Opatrzność jednak kazała Mr. Proutowi, którego przydomek szkolny, wywodzący się od kształtu jego nogi, brzmiał „Kopyciarz”, poprowadzić wywiad na własny rachunek i właśnie ostrożny Stalky znalazł olbrzymi jego ślad koło chaty pewnego pięknego popołudnia, gdy zagłębiony w tomie Surteesa i zajęty nową fajeczką z głogu gotów był zapomnieć o Proucie i jego czynach. Kruzoe na widok śladu stopy Karaiba nie działałby rychlej od Stalky'ego. Sprzątnął on natychmiast fajki, wymiół szczątki zapalek i pośpieszył ostrzec Beetle'a i M'Turka.

Charakterystyczne jednak dla tego chłopca było, iż nie zbliżył się do swoich towarzyszy, dopóki nie odnalazł i nie rozmówił się z małym Hartoppem, przewodniczącym Towarzystwa Nauk Przyrodniczych, instytucji, którą Stalky miał w pogardzie. Hartopp niewymownie się zdziwił, kiedy chłopak uprzejmie, jak to tylko on umiał, zaczął go błagać, aby mu pozwolił zgłosić siebie, Beetle'a i M'Turka jako kandydatów, zwierzył mu się z hamowanego od dawna zainteresowania kwiatami, wczesnymi motylami i nowymi zjawiskami i wreszcie okazał gotowość, o ile Mr. Hartopp uznałby za stosowne, rozpocząć nowe życie od razu. Jako nauczyciel Hartopp był nieufny, równocześnie jednak był też entuzjastą, a jego dobra mała dusza nie była pozbawiona pewnego uprzedzenia do tej trójki, a już szczególnie do Beetle'a z powodu uwag, jakie od czasu do czasu pod jego adresem padały. Toteż, nie chcąc zrażać żałujących grzeszników, okazał się wobec nich miłościwy i wciągnął te trzy nazwiska do swej księgi.

Dopiero wtedy, nie wcześniej, odszukał Stalky, Beetle'a i M'Turka we wspólnej sali. Pakowali książki, nad którymi mieli zamiar spędzić spokojnie popołudnie w krzakach żarnowca, zwanych „puszczą”.

– Wszystko przepadło! – rzekł Stalky pogodnie. – Znalazłem po obiedzie lekkie ślady stópek Kopyciarza koło naszej chaty. Bogu dzięki, że je z daleka widać!

– Na-sy-pa-li – piasku! Fajki schowałeś? – zapytał Beetle.

– Gdzieżby! Zostawiłem je, rozumie się, na samym środku chaty! Co za skończony idiota z ciebie, Beetle! Czy ci się zdaje, że oprócz ciebie nikt już nie myśli? Nie ma co, ta chata już dla nas na nic. Kopyciarz będzie jej pilnował.

– A to kłapa! Co za świństwo! – mówił zaskoczony M'Turk, wyrzucając książki z za pazuchy.

Chłopcy nosili swe biblioteki w bluzach, między kołnierzem a paskiem.

– Ładna historia! To znaczy, że z powodu tego podejrzenia do końca kursu będziemy pod bezustannym dozorem.

– Niby dlaczego? Kopyciarz znalazł jedną chatę. On i Foxy będą jej pilnowali. To nas przecie nic a nic nie obchodzi; idzie o to tylko, żebyśmy się w tych stronach przez jakiś czas nie pokazywali.

– Pewnie, ale gdzież się podziejemy? – rzekł Beetle. – Sam wybrałeś to miejsce, a ja... ja... ja chciałem dziś po południu czytać.

Stalky siedział na pulpicie, bębniąc piętami w ławkę.

– Beetle, ty jesteś skończone ciele. Czasami mam wrażenie, jak gdybym powinien was obu puścić kantem. Czy zdarzyło się kiedy, aby o was wuj Stalky zapomniał? *His rebus infectis*<sup>2</sup> – ujrzawszy ślady Kopyciarza, okrążające naszą chatę, złapałem małego Hartoppa – *destricto ense*<sup>3</sup> – powiewającego siatką na motyle. Przebłągałem Hartoppa. Oświadczyłem mu, Beetle, że jeśli cię przyjmie, napiszesz odczyt dla Łowców Pluskiew. Zapewniłem go, Turkey<sup>4</sup>, że przepadasz za motylami. Krótko mówiąc, udobruchałem Kartofla i w tej chwili jesteśmy już Łowcami Pluskiew.

– I cóż z tego? – rzekł Beetle.

– Turkey, daj mu w tej chwili kopniaka.

Terytorium, wyznaczone uczniom liceum na małe wycieczki, było w interesie wiedzy znacznie rozszerzone dla członków Towarzystwa Nauk Przyrodniczych. Pod warunkiem, że nie będą wchodzili do domów, mogli się w rzeczywistości wałęsać, gdzie im się podobało; za przyzwoite zachowanie się ręczył Mr. Hartopp.

Beetle zrozumiał to, jak tylko M'Turk zaczął go kopać.

– Jestem skończonym osłem, Stalky! – wołał, zasłaniając atakowaną część ciała. – *Pax*<sup>5</sup>, Turkey, jestem osłem!

– Nie zważaj na niego, Turkey. Czy wasz wuj Stalky nie jest Wielkim Człowiekiem?

– Jest! Jest! – zgadzał się Beetle.

– Ale swoją drogą polowanie na pluskwy to plugawe zajęcie – zauważył M'Turk. – W jaki sposób się do tego zabrać?

– W ten sposób! – rzekł Stalky, sięgając do stojących za nim szafek mikrusów. – Mikrusy zawsze wariują za historią naturalną. Tu masz puszkę na rośliny małego Braybrooke'a.

To mówiąc, wyrzucił za okno mnóstwo gnijących, zrosniętych z sobą roślin i rozluźnił rzemień.

– Zdaje się, że to może człowiekowi nadać zupełnie zawodowy wygląd. A tu geologiczny młotek Claya młodszego. To może wziąć Beetle. Turkey, ty pewnie rwiesz się do jakiejś siatki na motyle?

– Niech mnie szlag trafi, jeśli to prawda! – wykrzyknął M'Turk po prostu, ale z głębokim przekonaniem. – Beetle, daj mi młotek!

– Dobrze! Ja nie jestem wcale dumny. Zdejm<sup>6</sup> mi tę siatkę, co tam wisi na górze, Stalky!

– Bardzo słusznie. Ty, to składany interes! Te kundle, mikrusy, mają bardzo luksusowe upodobania. Boga mego, to ci zrobione jak wędka! Na świętego Samiwela! Wyglądamy zupełnie jak Łowcy Pluskiew! A teraz słuchajcie, co wam powie wuj Stalky! Pójdziemy na motyle w nadbrzeżne skały. Mało kto tam chodzi. Ale to kawał nie lada. Radziłbym wam zostawić książki!

– Jeszcze czego! – rzekł Beetle stanowczo. – Ani mi się śni wyrzec się przyjemności dla paru parszywych motyli!

– Spocisz się strasznie! To już raczej weź mego Jorrocka. Od niego goręcej ci nie będzie.

Spocili się wszyscy trzej, albowiem Stalky pogał ich ostrym kłusem daleko na zachód wzdłuż skał nadbrzeżnych pod zarosłe żarnowcem wydmy, na przełaj przez wąwozy pełne kolczastych krzaków. Nie zwracali najmniejszej uwagi na latające króliki ani cesarskie korony, zaś to, co Turkey mówił o geologii, w żaden sposób nie nadaje się do powtórzenia.

– Czy idziemy do Clovelly? – zapytał wreszcie zdyszany.

Rzucili się na krótką, sprężystą murawę, ogarnięci z jednej strony leniwą sennością morza pod nimi, a z drugiej – lekkim wietrzykiem letnim, buszującym wśród drzew w głębi lądu. Patrzyło się stąd w wąwóz pełen starego, wysokiego żarnowca, obsypanego żółtym kwieciami i biegnącego aż ku obramieniu z krzaków jeżyny, ostrokrzewia i ostów. Wyglądało to, jak gdyby pół wąwozu aż do

---

<sup>2</sup> *His rebus infectis* (łac.) – nie ukończywszy tych spraw. [przypis edytorski]

<sup>3</sup> *destricto ense* (łac.) – z obnażonym mieczem. [przypis edytorski]

<sup>4</sup> *Turkey* – przydomek M'Turka; *turkey* (ang.) – indyk. [przypis edytorski]

<sup>5</sup> *pax* (łac.) – pokój; tu: proszę o pokój, pogódźmy się. [przypis edytorski]

<sup>6</sup> *zdejm* – dziś popr.: zdejmij. [przypis edytorski]

brzegu skały było pełne złotego ognia. Dalej ciągnęło się już otwarte, trawą zarosłe pole, obficie najeżone tablicami z napisami.

– Co za okrutny stary piernik! – odezwał się Stalky, czytając napis na najbliższej tablicy. – *Pod grozą pociągnięcia do jak najsurowszej odpowiedzialności wobec prawa G. M. Dabney, Col., Sędzia Pokoju* i tak dalej. Nie zdaje mi się, żeby człowiek o zdrowych zmysłach chciał przejść tę granicę.

– Trzeba naprzód dowieść, że ktoś zrobił szkodę, bo nie można pociągnąć do odpowiedzialności za nic. Nie może skarżyć o przekroczenie granicy – rzekł M'Turk, którego ojciec miał większy majątek ziemski w Irlandii. – To wszystko bzdury!

– Dobrze wiedzieć, bo zdaje mi się, żeśmy właśnie tego potrzebowali. Ależ nie na przełaj, Beetle, ty ślepy wariacie! Toż by nas po pół mili złapano! Tędy! I zwiń tę swoją głupkowatą siatkę na motyle.

Beetle wyjął pierścień, schował siatkę do kieszeni, zsunął kij, tak że zrobiła się z niego laska długości dwóch stóp, i opasał się trzciniową obręczą. Stalky poprowadził ich w głąb łądu do lasku znajdującego się o jakieś ćwierć mili od morza i tu zatrzymał się u skraju jeżyn.

– Teraz możemy zejść prosto na dół przez krzaki i nie pokazać się więcej – mówił taktyk. – Beetle, syp naprzód zbadać teren. Fu! Gdzieś tu wściekle śmierdzi lisem.

Beetle na czworakach, wyjąwszy, kiedy łapał spadające okulary, zaczął się czołgać przez kolczasty gąszcz i wkrótce wśród jęków bólu oznajmił, iż znalazł bardzo piękny lisi przesmyk. Dobrze się to dla niego składało, bo Stalky szczypał go *a tergo*<sup>7</sup>. Tym tunelem czołgali się na dół. Był to widocznie gościniec mieszkańców wąwozu, prowadzący, ku niewypowiedzianej radości chłopców, na sam skraj skały nadbrzeżnej i kończącej się kilku kwadratowymi stopami suchej murawy, ze wszystkich stron otoczonej ścianami nieprzeniknionych, kolczastych zarośli.

– Słowo daję, tu dopiero można się położyć! – rzekł Stalky, chowając nóż do kieszeni. – Patrzcie!

Rozsunął tęgie łodygi przed sobą i zdawało się, jak gdyby nagle otworzyło się okno na daleką panoramę Lundy. O dwieście stóp pod nimi falujące morze obwachiwało leniwie żwir nadbrzeżny. Słychać było młode kawki pokrzykujące na rafach, poświstywanie i zgiełk jakiegoś niewidzialnego jastrzębiego gniazda; zaś Stalky z wielką powagą plunął na grzbiet młodemu królikowi, wygrzewającemu się na słońcu daleko pod nim, tam gdzie tylko skalny królik może znaleźć dla swych stóp oparcie. Wielkie szare i czarne mewy skrzeczały, opędzając się od kawek; włóki aromatycznego kwiecica dokoła tętniły życiem nisko gnieźdzących się ptaków, śpiewających lub milczących, w miarę jak cień kołujących jastrzębi przybliżał się lub oddalał; a na otwartym polu po drugiej stronie wąwozu tarzały się i skakały wesoło króliki.

– Fi! Co za kącik! To ci dopiero historia naturalna! – odezwał się Stalky, nabijając fajeczkę. – Może tu nie byczo, co! Pocziwe, stare morze!

Splunął znowu z uznaniem i umilkł.

M'Turk i Beetle wyjęli książki i legli na brzuchach z brodami w dłoniach. Morze chrapało i gulgotało; ptaki rozproszone na chwilę przez przybycie tych nowych zwierząt wróciły do swych zajęć, zaś chłopcy czytali w bujnej, rozparzonej, sennej ciszy.

– Hallo, jakiś dozorca! – odezwał się Stalky, zamykając ostrożnie *Handley Cross*<sup>8</sup> i patrząc przez krzaki.

Po wschodniej stronie zjawił się na horyzoncie człowiek z fuzją.

– Bodaj go jasny piorun, on chce sięść!

– Przysięgłby pewnie, że jesteśmy kłusownikami! – rzekł Beetle. – Ale co komu po bażancich jajach! Są zawsze zgniłe.

---

<sup>7</sup> *a tergo* (łac.) – w plecy, z tyłu. [przypis edytorski]

<sup>8</sup> *Handley Cross* (1843) – książka R. S. Surteesa (1805–1864). [przypis edytorski]

– Ja myślę, że nieźle byłoby dać nogę w krzaki – zauważył Stalky. – Wcale nam nie jest potrzebne, żeby G. M. Dabney Col., Sędzia Pokoju, tak prędko zaczął się nami zajmować. W puszczy i cicho! Kto wie, czy ten drab nie szedł za nami, rozumiecie?

Beetle był już daleko w tunelu. Usłyszeli, jak stęknął w jakiś dziwny, niebywały sposób; rozległ się trzask gałęzi łamanych przez ciężkie jakieś ciało, przedzierające się przez krzaki.

– Mam cię, ty mały, czerwony łotrze!

Gajowy złożył się nagle i wypalił z obu luf w ich kierunku. Śrut zaszumiał w suchych łodygach dokoła nich, że aż się kurz posypał, równocześnie zaś wielki lis przeleciał między nogami Stalky'ego i pomknął ku skrajowi skały.

Nie odezwali się ani słowem, póki nie znaleźli się w gąszczu, podrapani, rozczochrani, zgrzani, ale przecie nie dostrzeżeni przez nikogo.

– Omal że się nam nie dostało! – odezwał się Stalky. – Przysięgam, że kilka śrucin przeleciało mi między włosami.

– Widziałeś go? – mówił Beetle. – Mało brakowało, a byłbym na niego upadł. Ale to był ogrom! A śmierdział! Halo, Turkey, co ci jest? Czyś ranny?

Chuda twarz M'Turka zrobiła się perłowo-biała; usta, zwykle na pół otwarte, były mocno zaciśnięte, a oczy aż się żarzyły. Nigdy go takim nie widzieli, wyjąwszy raz w bolesnym okresie wojny domowej.

– A czy wy wiecie, że to się równa morderstwu? – rzekł chrapliwym głosem, zgarniając ciernie z głowy.

– Kiedy nam i tak nic nie zrobił! – wtrącił Stalky. – To przecie tylko szopa! No, gdzież ty idziesz?

– Idę do dworu, jeśli tu jakikolwiek jest – odpowiedział M'Turk, przedzierając się przez osty. – Powiem to pułkownikowi Dabneyowi!

– Czyś zwariował? Powie z pewnością, że się nam to słusznie należało. Zrobi na nas doniesienie. Dostaniemy publiczne lanie przed całą szkołą. Turkey, nie bądź ostem! Pomyśl o nas!

– Idioto jakiś! – zawołał M'Turk, odwróciwszy się gwałtownie. – Myślisz, że mnie idzie o nas? Idzie o gajowego!

– Zwariował! – rzekł Beetle żałośnie, idąc za nim.

W samej rzeczy, był to jakiś nowy Turkey – Turkey wyniosły, kanciasty, zadzierający nosa – za którym oni szli przez porzeczeki i maliny w ogrodzie prosto ku trawnikowi, na którym stał z urzędnikiem starszy jegomość z siwizną u skroni, słuchając i klnąc zaciekle na przemiany.

– Czy pan pułkownik Dabney? – zaczął M'Turk swym nowym, chrapliwym głosem.

– Tak jest, ja, ja, a – oczy jego wędrowały po chłopcu od góry do dołu – kto... czego u diabła wy tu chcecie? Spłoszyliście mi bażanty. Nie próbujcie przeczyć. Nie ma się z czego śmiać! (Niezbyt piękne lica M'Turka skurczyły się w okropny grymas śmiechu przy słowie „bażanty”). Wybieraliście mi jaja z gniazd. Na próżno chowasz czapkę, wiem dobrze, że jesteś z liceum. Nie próbuj przeczyć! Jesteś z liceum. Proszę natychmiast o nazwisko i numer, paniczku. Chciałeś ze mną mówić, co? Moje tablice z napisami widziałeś? Musiałeś widzieć! Nie próbuj przeczyć! Widziałeś! O, karygodne! Karygodne!

Pułkownik dusił się z gniewu. M'Turk tupał z lekka piętą w trawnik i jękał się trochę – dwie niezawodne oznaki, że traci panowanie nad sobą. Ale o cóż miał być zły, on, winowajca?

– Nie... niech pan posłucha, proszę pana. Czy... czy pan strzela lisy? Bo jeśli pan nie strzela, to pański gajowy strzela. Widzieliśmy na własne oczy. Ja... ja gwizdę na pańskie wyzwiska – ale to okropność! To przecie uniemożliwia wszelkie uczucia sąsiedzkie! Mąż... mężczyzna musi raz na zawsze powiedzieć, jakie stanowisko zajmuje wobec okresu ochronnego! To gorsze od morderstwa, bo przeciw temu nie ma legalnego środka!

M'Turk cytował chaotycznie słowa ojca, podczas gdy starszy jegomość wyprawiał dziwne hałasy w gardle.

– Czy wiesz, kto ja jestem? – zagulgotał wreszcie.

Stalky i Beetle zadrżeli.

– Nie, mój panie, i nic mi na tym nie zależy, choćby pan nawet był samym wicekrólem! Proszę mi tu zaraz odpowiedzieć, jak gentleman gentlemanowi: czy pan strzelasz lisy, czy nie?

A przecież cztery lata temu Stalky i Beetle tak starannie wykopali M'Turka z jego irlandzkiego dialektu! Najniewątплиwiej w świecie zwariował albo dostał porażenia słonecznego i tak samo niewątплиwie dostanie rżniętkę<sup>9</sup> – naprzód od starego gentelmana, a potem od dyrektora. Najmniejsze, czego się wszyscy trzej mogli spodziewać, to była chłosta publiczna. Jednakże – jeśli własnym oczom i uszom mogli wierzyć – starszy pan zmiękł. Mogła to być cisza przed burzą, ale...

– Ja nie strzelam!

Wciąż jeszcze gulgotał.

– To pan musi wylać swego gajowego. On nie godzien mieszkać razem z przyzwoitym lisem w jednym i tym samym hrabstwie. I w dodatku lisica w tej porze roku!

– Czy przyszedłeś rozmyślnie po to, żeby mi to powiedzieć?

– Rozumie się, że tak, dziwny człowieku! – odpowiedział M'Turk, tupiąc nogą. – Czyżbyś pan nie zrobił tego samego dla mnie, gdyby się panu zdarzyło zauważyć coś podobnego w moim majątku?

W niepamięć – w niepamięć poszło liceum i szacunek należny starszym. M'Turk znowu stapał po jałowych, purpurowych górach dżdżystego wybrzeża zachodniego, gdzie podczas ferii był wicekrólem czterech tysięcy akrów gołej ziemi, jedynym synem w trzystuletnim domu, panem dziurawej łodzi rybackiej i bożyszczem ubogich dzierżawców swego ojca. To ziemianin mówił do równego sobie – głębina wołała do głębin – i stary gentleman zrozumiał to wołanie.

– Przepraszam! – rzekł. – Przepraszam bez zastrzeżeń – pana i Stary Kraj. A teraz może pan będzie tak dobry i zechce mi opowiedzieć, jak to było?

– Byliśmy w pańskim jarze – zaczął M'Turk i opowiadał dalej na przemiany, to jak żak, to znowu, gdy niegodziwość gajowego wyprowadzała go z równowagi, jak oburzony obywatel wiejski. Wreszcie zakończył:

– Jak pan z tego widzi – musiało to już wejść u niego w zwyczaj. Ja... my... nigdy chętnie nie oskarża się służby sąsiada, ale w tym wypadku pozwoliłem sobie.

– Rozumiem. Oczywiście. I miałeś pan zupełną słuszość. Haniebne – och, haniebne!

Szli koło siebie razem po trawniku, a pułkownik Dabney rozmawiał jak z równym sobie.

– Oto skutki awansowania rybaka! Rybaka, którego osobiście wyciągnąłem z jego sieci na homary! Przecie tego dość, aby zepsuć reputację archaniola! Niech pan nie próbuje przeczyć! To fakt. Dobrze pana wychował ojciec. Tak jest. Cieszyłbym się bardzo, gdybym go mógł poznać. Tak jest, bardzo. A ci dwaj panicze? Anglicy. Niech pan nie próbuje przeczyć. Oni także z panem przyszli? Nadzwyczajne! Nadzwyczajne, doprawdy. Nigdy bym nie przypuszczał, żeby przy dzisiejszym stanie wychowania mogło się znaleźć trzech chłopców ze zdrowymi zasadami... ale prawda pochodzi z ust... Nie, nie! To się do was nie stosuje! Nie próbujcie przeczyć! Wy nie! Sherry chwyta mnie zawsze za wątrobę, ale – piwo, co? Ha? Co powiecie na piwo i mały podwieczorek? Dawno już temu, jak byłem chłopcem – straszne to szkodniki. Ale wyjątki potwierdzają tylko regułę. I w dodatku lisica!

Nakarmiła ich na tarasie siwowłosa gospodyni. Stalky i Beetle głównie jedli, ale M'Turk z szeroko otwartymi oczami prowadził swobodną, lekką rozmowę, a starszy pan traktował go jak brata.

– Ależ rozumie się, mój drogi, możecie przyjść znowu. Czyż nie powiedziałem, że wyjątki potwierdzają regułę? Dolna część wąwozu? Człowieku, gdzie się wam podoba, byleście mi nie płoszyli bażantów. Te dwie rzeczy nie są bynajmniej nie do pogodzenia. Nie próbujcie przeczyć. To fakt, a swoją drogą, nie pozwolę już gajowemu nosić strzelby. Przychodźcie i chodźcie sobie, gdzie chcecie. Ja was nie będę widział, wy nie potrzebujecie widzieć mnie. Jesteście dobrze wychowani. Jeszcze szklankę piwa, co? Powiadam ci – był rybakiem i dziś wieczór znowu rybakiem zostanie.

---

<sup>9</sup> rżniętka – tu: bicie, kara fizyczna. [przypis edytorski]

Zostanie! Najchętniej utopiłbym go. Odprowadzę was do domku odźwiernego. Moi ludzie nie są szczególnie... e... uprzejmi dla chłopców w waszym wieku, ale *was* na drugi raz poznają.

Po wielu komplementach pożegnał ich przy domku odźwiernego, w wysokiej bramie u dębowych sztachet parku.

Chłopcy stali przez jakiś czas w milczeniu. Nawet Stalky, który grał drugie, jeśli nie nieme skrzypce, patrzył na M'Turka jak na człowieka nie z tego świata. Dwie szklanki mocnego, domowego piwa snadź usposobiły chłopca melancholijnie, bo idąc z rękami w kieszeniach zanucił z cicha:

Oh, Paddy drogi, zali<sup>10</sup> wiesz,  
co ludzie szepcą sobie?

Kiedy indziej Stalky i Beetle rzuciliby się na niego natychmiast, bo ta pieśń była ze względu na swą siłę czarodziejską wyklęta – *anathema*. Widząc jednakże, czego dokonał, tańczyli dokoła niego w milczeniu, czekając, aż raczy zstąpić na ziemię.

Dzwonek zwołujący na herbatę odezwał się, kiedy byli o pół mili od liceum. M'Turk drgnął i ocknął się ze swych marzeń. Opuściła go wakacyjna chwała majątku ziemskiego. Znowu był mówiącym po angielsku uczniem liceum.

– Turkey, to było niesłychane! – pochwalił go Stalky szlachetnie. – Nie wiedziałem, że to w tobie siedzi. Zdobyłeś dla nas na cały kurs chatę, w której po prostu nikt *nie może* nas złapać.

Wirowali dziko na piętach, jodłując według przyjętego zwyczaju długim okrzykiem zwycięstwa, zbliżonym do pieśni triumfalnej dzikich i zbiegli ze wzgórza ścieżką, prowadzącą od gazometru, na dół, właśnie w samą porę, aby się spotkać z gospodarzem, który całe popołudnie spędził na pilnowaniu ich opuszczonej chaty w „puszczy”.

Na szczęście, cała wyobraźnia Mr. Prouta skłaniała się ku ciemniejszej stronie życia, skutkiem czego bardzo kwaśno patrzył na tych cherubinów o niewinnym spojrzeniu. Chłopcy, jak Prout ich rozumiał, zajmowali się meczami klasowymi, do których ich też w każdej chwili można było zawołać. On jednak słyszał, jak Mr. Turk publicznie wyśmiewał palanta – nawet mecze klasowe; wiedział, że zapatrywania Beetle'a na „honor klasy” są wprost rewolucyjne, i nigdy nie mógł z całą pewnością powiedzieć, kiedy gładki i uśmiechnięty Stalky śmieje się z niego. A wobec tego – jako że natura ludzka jest taka, jaka jest – ci chłopcy musieli gdzieś nabroić! Spodziewał się, że to nic poważniejszego, ale...

– *Ta-ra-la-la-i-ti!* Oto ma pieśń zwycięska! Słuchajcie!

Stalky, wciąż jeszcze wirując na piętach, poleciał do jadalni jak tańczący derwisz.

– *Ti-ra-la-la-i-tu!* Oto ma pieśń zwycięska! Słuchajcie! – piruetował za nim Beetle z rozkrzyżowanymi ramionami.

– *Ti-ra-la-la-i-tu!* Oto pieśń mego zwycięstwa! Słuchajcie! – zaskrzeczał głos M'Turka.

Ale gdy go mijali, czy zalatywało od nich piwem, czy nie?

Nieszczęście tkwiło w tym, iż jego sumienie gospodarza<sup>11</sup> klasy kazało mu zasięgnąć rady u kolegów. Gdyby powędrował ze swą fajką i kłopotami do pokoju małego Hartoppa, byłby sobie może oszczędził wstydu. Bo Hartopp miał do chłopców zaufanie i niejedno o nich wiedział. Los skierował go do Kinga, również gospodarza klasy, ale niezbyt mu życzliwego, a nienawidzącego gorliwie Stalky'ego i Spółki.

– A – ha! – rzekł King, zacierając ręce po wysłuchaniu historii. – Ciekawe! *W mojej klasie* nigdy nikomu coś podobnego na myśl nawet nie przyjdzie.

– Widzi pan – prawdę mówiąc, nie mam dowodu!

---

<sup>10</sup> *zali* (daw.) – czy. [przypis edytorski]

<sup>11</sup> *gospodarz klasy* – tu: wychowawca klasy. [przypis edytorski]

– Dowodu? Dla naszego znakomitego Beetle'a! Jak gdyby go było potrzeba! Przypuszczam, że dostarczenie dowodu nie będzie niepodobieństwem dla sierżanta. Przynajmniej w mojej klasie uchodzi Foxy za niezwycięzonego w wyłapywaniu krętaczy. Z całą pewnością palili gdzieś i pili. Chłopcy tego typu zawsze to robią. Zdaje się im, że to po męsku.

– Ale oni mało z kim się w szkole wdają, a wobec młodszych są wyraźnie – no – brutalni – rzekł Prout, który widział z daleka, jak Beetle oddawał z procentem siatkę na motyle zapłakanemu mikrusowi.

– Oczywiście! Uważają się za wyższych ponad zwykłe rozrywki. Małe zarozumiałe bydłatka! W tym szyderczym, celyckim uśmiechu M'Turka jest coś, co mnie denerwowałoby trochę. A jak starannie oni się zawsze ze wszystkim kryją! Bezcelność wprost na zimno obmyślana, z góry ułożona. Jak pan wie, jestem bezwzględny przeciwnikiem wtrącania się do spraw cudzych klas, ale tym chłopcom trzeba dać nauczkę, Prout, i to dobrą nauczkę, jeśli chcemy poskromić bodaj tylko ich wybujałą pewność siebie. Gdybym był na pańskim miejscu, zająłbym się przez jakiś tydzień ich sprawkami. Chłopcy tego rodzaju – być może, że sobie pochlebiam, ale ja myślę, że chłopców znam – nie wstępują do Łowców Pluskiew bez kozery<sup>12</sup>. Niech pan powie sierżantowi, aby miał oczy otwarte; ja też będę uważał podczas swych wędrówek.

– *Ti-ra-la-la-i-tu!* Oto ma pieśń zwycięska! Słuchajcie! – zabrzmiało daleko w głębi korytarza.

– Wstrętne! – rzekł King. – Gdzie oni się nauczyli tego bezwstydnego wycia! Koniecznie potrzebują dobrej nauczki.

Ale chłopcy nie troszczyli się o nauczki przez kilka następnych dni. Mieli do swego rozporządzenia cały majątek pułkownika Dabneya i przetrząsali go z ostrożnością Czerwonoskórych a dokładnością włamywaczy. Mogli wchodzić przez bramę koło domku odźwiernego z górnej drogi – nie omieszkali zaprzyjaźnić się z odźwiernym i jego żoną – mogli, zszedłszy na dno wąwozu, wracać wzdłuż skał nadbrzeżnych albo też, zacząwszy od wąwozu, piąć się na górę aż ku gościńcowi.

Uważali starannie, aby nie wejść w drogę pułkownikowi – on swoje zrobił i nie należało nadużywać jego gościnności – nie pokazywali się też na horyzoncie, gdy mogli się poruszać w ukryciu. Najulubieńszym ich kątem była kryjówka w krzakach na brzegu skały. Beetle nazwał ją Zaczarowaną Grotą<sup>13</sup>, tak dla spokoju, jak i schronienia, jakie dawała. Gdy tu leżeli z fajkami i tytoniem umieszczonym wygodnie na długość ramienia, pozycja ich była prawie nie do zdobycia.

Albowiem, zapamiętajmy to sobie, pułkownik Dabney nie zaprosił ich do swego domu. Z tego powodu nie potrzebowali prosić o specjalne pozwolenie bywania u niego; a pod tym względem przepisy szkolne były bardzo surowe. On dał im tylko wstęp na swe grunta, ponieważ zaś byli regularnymi Łowcami Pluskiew, rozszerzone granice ich działalności obejmowały jego tablice w wąwozie i bramy jego parku na górze.

Byli olśnieni swą własną cnotliwością.

– Ale nawet gdyby tak nie było! – mówił Stałky, leżąc na wznak i wpatrując się w błękit. – Przypuśćmy nawet, że jesteśmy kilka mil za granicami szkolnymi, nikt, kto nie wie, gdzie tunel, złapać nas w tej puszczy nie może. Czyż to nie lepsze, niż leżenie tuż za budą<sup>14</sup> i pietranie się, ile razy chciało się zapalić fajkę? Czyż wasz wuj Stalky nie jest...

– Nie! – rzekł Beetle wyciągnięty na brzegu skały i polując w zamyśleniu. – Zawdzięczamy to Turkowi. Turkey jest Wielki Człowiek! Turkey, wiesz ty, kochanie, że do rozpaczy doprowadzasz Kopycińsia?

– Głupi, stary osioł! – mruknął zaczytany M'Turk.

---

<sup>12</sup> bez kozery – tu: bez powodu, bez jakiegoś ukrytego celu. [przypis edytorski]

<sup>13</sup> Zaczarowana Grotka – po ang. *Pleasant Isle of Aves*, Wyspa Rajskich Ptaków a. Cudowna Ptasia Wyspa, cytat z wiersza Charlesa Kingsleya *The Last Buccaneer*, opisującego wyspę Isla Aves na Morzu Karaibskim. [przypis edytorski]

<sup>14</sup> buda (daw. pot.) – szkoła (w żargonie uczniowskim). [przypis edytorski]

– Znowu zaczynają nas podejrzewać! – zaczął Stalky. – Kopytko stał się dziwnie podejrzliwy od jakiegoś czasu, a Foxy, ile razy urządził obławę, zawsze musi przynieść coś w rodzaju, w rodzaju...

– Skalpu! – rzekł Beetle. – Foxy jest durny Czinganguk<sup>15</sup>!

– Biedny Foxy! – rzucił Stalky. – Wyobraża sobie, że nas w tych dniach złapie. Powiedział mi wczoraj w sali gimnastycznej: „Mam panicza na oku, Mr. Corkran. Ostrzegam panicza tylko dla pańskiego dobra”. Odpowiedziałem mu na to: „Radzę wam dać temu spokój, bo wpadniecie. Ostrzegam was tylko dla waszego dobra”. Foxy był wściekły.

– Cóż, dla Foxy'ego to tylko wesoły sport! – rzekł Beetle. – Kopyciarski, to prawdziwy szpicel! I nie dziwię się, jeśli myśli, żeśmy się wstawili...

– Ja się urzynałem tylko raz, podczas świąt – mówił Stalky z namysłem. – Strasznie się potem przechorowałem. Ale, jak Boga mego, jak się ma za gospodarza klasy takiego bydlaka jak Kopytko, można się rozpić.

– Gdybyśmy chodzili na mecze i ryczeli: „Doskonale, panie profesorze!” – gdybyśmy stali na jednej nodze i wyszczerzali zęby, ile razy Kopytius powie: „Dalej, dziatki, zwawo”, a my mu na to: „Tak jest, prosz pampсора<sup>16</sup>” lub: „Prosimy, prosz pampссора”, jak to robi zgraja parszywych mikrusów, Kopytkowski wynosiłby nas pod niebiosa – rzekł M'Turk z drwiącym uśmiechem.

– Trochę za późno zaczynać.

– A po co? I tak wszystko w porządku. Kopyciański nie chce niczego złego. Ale on jest osioł. A my *dajemy mu do poznania*, że go uważamy za osła. *Dlatego* Kopyścio nas nie kocha. Wczoraj po modlitwie powiedział mi, że on jest *loco parentis*<sup>17</sup>! – śmiał się Beetle.

– Chorroba! – wykrzyknął Stalky. – To znaczy, że knuje jakieś niesłychane łajdactwo! Ostatni raz mi to powiedział, jak mi dał trzysta wierszy do przepisania za tańczenie kacuczki w sypialni nr 10. *Loco parentis*, jak Boga mego! Ale co nas obchodzą te głupstwa, dopóki jesteśmy szczęśliwi. Nic nam zarzucić nie można.

Tak było i właśnie ta ich nienaganność wprowadzała w zakłopotanie Prouta, Kinga i sierżanta. Chłopcy mający coś na sumieniu zwykle się zdradzają. Cichaczem wymykają się pośpiesznie za bramę, a zapytani śmieją się nerwowo. Wracają w nieładzie tuż przed apelem. Dają sobie znaki głowami, rozmawiają na migi i chichoczą, rozpraszając się, jak tylko zauważą zbliżającego się nauczyciela. Ale Stalky i jego towarzysze dawno już wyszli z okresu tych młodocianych manifestacji. Wychodzili jakby nigdy nic i wracali w zupełnym porządku po lekkim podwieczorku z poziomek ze śmietaną w domku odźwiernego.

Ponieważ w miejsce krwiożerczego rybaka gajowym został mianowany odźwierny, żona jego miała dla chłopców wielki szacunek. Prócz tego odźwierny dał im wiewiórkę, którą oni znów ofiarowali Towarzystwu Nauk Przyrodniczych, dając tym równocześnie mata małemu Hartoppowi, już chcącemu zapytać, co też oni robią dla Wiedzy. Foxy sumiennie zbadał kilka głębokich stromych dróg dewońskich za pewną samotną oberżą na rozstaju, a ciekawą było rzeczą, że także Prout i King, rzadko obcujący z sobą przyjaźnie członkowie „ciała nauczycielskiego”, kroczyli razem w tym samym kierunku – to znaczy na północny wschód. A tymczasem Czarodziejska Grota leżała dobrze na południowy zachód.

– Oni są chytrzy – piekielnie chytrzy! – mówił Stalky. – Ale dlaczego nas aż tam szukają?

– Ja wiem! – odezwał się Beetle słodko. – Pytałem Foxy'ego, czy próbował kiedy w tej oberży piwa. To mu wystarczyło i dodało mu trochę ducha. On i Kopycio tak długo węszyli koło naszej starej chaty, że pomyślałem, iż nie będą mieli nic przeciw jakiejś zmianie.

---

<sup>15</sup> Czinganguk, własc. Chingangook a. Chingachgook – imię ostatniego Mohikanina z powieści Jamesa Fenimore'a Coopera; tu: Indianin. [przypis edytorski]

<sup>16</sup> *prosz pampссора* – uczniowski skrót zwrotu grzecznościowego: proszę pana profesora. [przypis edytorski]

<sup>17</sup> *loco parentis* (łac.) – zastępca rodziców. [przypis edytorski]

– Dobrze, ale to przecie wiecznie trwać nie może – zauważył Stalky. – Kopytkowicz chodzi nadęty jak chmura gradowa, a King zaciera wciąż przednie łapy i szczyrzy zęby jak hiena. Na Kinga działa to okropnie demoralizująco. Jeszcze którego dnia pęknie...

Ten dzień przyszedł nieco wcześniej, niż się spodziewali – przyszedł, kiedy sierżant, którego obowiązkiem było zbieranie niepunktualnych, nie pojawił się przy zbiórce poobiedniej.

– Ma już dość marudów, co? Poszedł na górę, żeby nas wymacać stamtąd lornetką – rzekł Stalky. – Dziw, że dawniej o tym nie pomyślał. Widzieliście, jakie oko do nas zrobił stary Kopyto przy zbiórce? Kopycińsio też w tym palce umaczał. *Ti-ra-la-la-i-tu!* Oto mój śpiew zwycięski! Słuchajcie! Chodźmy!

– Do Groty? – zapytał Beetle.

– Naturalnie, tylko że ja nie palę *aujourd'hui*<sup>18</sup>. *Parce que*<sup>19</sup> *je*<sup>20</sup> zupełnie słuszne-ment<sup>21</sup> pense<sup>22</sup>, że dziś będziemy *suivis*<sup>23</sup>. Pójdziemy sobie wzdłuż skał, powolutku, tak żeby Foxy mógł nam nadażyć<sup>24</sup> na górze.

Skierowali się ku pływalni i nagle ujrzeli przed sobą Kinga.

– O, ja wam przeszkadzać nie będę! – wykrzyknął na ich widok. – Zajęci naukowymi badaniami, oczywiście? Jestem pewny, że się dobrze zabawicie, moi młodzi przyjaciele.

– Widzicie! – rzekł Stalky, kiedy King nie mógł ich już usłyszeć. – Nie potrafi dochować sekretu. Idzie, żeby nam przeciąć linię odwrotu. U łazienek zaczeka na Kopyciarza. Obsadzili wszystkie miejsca, wyjąwszy drogi wzdłuż skał, i teraz myślą, że nas zakorkowali jak w butelce. Nie ma się po co śpieszyć.

Szli powoli przez wąwozy, aż wreszcie stanęli na linii tablic.

– Posłuchajcie, chłopcy. Foxy nakrecony jest tak, że będzie musiał posypać się za nimi z góry na dół jak groch. Jak tylko usłyszycie, że się przedziera przez krzaki, walcie wprost do Groty. Oni chcą nas złapać *flagrante delicto*<sup>25</sup>.

Zanurzyli się w krzewiu pod prostym kątem do tunelu, otwarcie idąc przez trawę, i legli cicho w Grocie.

– Nie mówiłem?

Stalky schował starannie tytoń i fajki. Sierżant, bez tchu, oparł się o płot, próbując za pomocą lornetki przeszukać zarośla, ale z równym powodzeniem mógł próbować patrzeć przez worek z piaskiem. Wkrótce pojawił się za nim Prout i King. Naradzali się.

– Aha, Foxy'emu nie podobają się tablice, ale nie podobają mu się także i ciernie. No, to teraz syjemy tunelem na dół, pójdziemy do domu odźwiernego. Hallo! Oni posłali Foxy'ego w krzaki!

Foxy tkwił po pas w trzeszczącym, kołyszącym się krzewiu, z uszami pełnymi zgietku własnych kroków. Chłopcy dotarli do lasku na górze i patrzyli na dół przez pas ostrokrzewiu.

– Hałas piekielny! – zauważył Stalky krytycznie. – Nie sądzę, aby się to pułkownikowi Dabneyowi spodobało. Powiadam wam, chodźmy do domku odźwiernego i sfrygajmy co tymczasem. Zobaczymy w sam raz koniec komedii.

Nagle przebiegł koło nich dozorca.

– Na miłość boską, kto tam jest na dnie wąwozu? Pan się wścieknie! – zawołał.

---

<sup>18</sup> *aujourd'hui* (fr.) – dzisiaj. [przypis edytorski]

<sup>19</sup> *parce que* (fr.) – ponieważ; dlatego że. [przypis edytorski]

<sup>20</sup> *je* (fr.) – ja. [przypis edytorski]

<sup>21</sup> *słuszne-ment* – żartobliwa stylizacja, dodanie do polskiego słowa fr. formantu przysłówka *-ment*: słusznie, z pewnością. [przypis edytorski]

<sup>22</sup> *penser* (fr.) – myśleć; *je pense* (fr.) – myślę. [przypis edytorski]

<sup>23</sup> *suivi* (fr.) – śledzony; *suivis* (fr.) – śledzeni. [przypis edytorski]

<sup>24</sup> *nam nadażyć* – dziś: za nami nadażyć. [przypis edytorski]

<sup>25</sup> *flagrante delicto* (łac.) – na gorącym uczynku. [przypis edytorski]

– Prawdopodobnie kłusownicy! – odpowiedział Stalky w szerokim dialekcie dewońskim<sup>26</sup>, który stanowił ich *langue de guerre*<sup>27</sup>.

– Już ja im dam kłusa!

Zleciał w lejkowaty wawóz, który po chwili zaczął się napęniać wrzawą. Zwłaszcza wyraźnie słychać było głos Kinga wołającego:

– Naprzód, sierżancie. Proszę mu dać spokój, panie! On spełnia mój rozkaz!

– A któż wy jesteście, żebyście tu rozkazywali, dziadu jeden! A wy pójdziecie ze mną do pana. Wyłazić z krzaków. (To do sierżanta). Ale jo, to sie wi, żeście przyszli za chłopcami. Ino że ci chłopcy mają długie uszy i białe brzuchy, a wy je chowacie do kieszeni, jak już nie żyją. Marsz do pana! On wam pokaże chłopców, że do końca życia popamiętacie. A wy tam – siedzieć za płotem!

– Wytłumaczcie właścicielowi! Możecie wytłumaczyć, sierżancie! – krzyczał King.

Widocznie sierżant poddał się przeważającej sile.

Beetle leżał jak długi na trawie za domkiem odźwiernego, literalnie gryząc ziemię w spazmie radości.

Stalky kopniakami przyprowadził go do przytomności. Na jego twarzy jak i na twarzy M'Turka nie było ani śladu wesołości; tylko muskuł jakiś drgał im czasem w policzku.

Zapukali do drzwi domku, w którym byli zawsze mile widzianymi gośćmi.

– Chodźcie ino i siadajcie, moi złoci! – przywitała ich żona dozorczy. – Nic mojemu chłopu nie zrobią. Już on im pokaże! Świeże poziomki i śmietana. My, ludzie z Dartmoor, nie zapominamy nigdy o swych przyjaciółach. Ale ci bidefordzcy kłusownicy, to wszystko hołota. Może cukru jeszcze? Mój mąż złapał dla was borsuka, moi panicze. Jest tam w sianie, w skrzynce.

– Weźmiemy go, jak zjemy. Ale, jak widzę, pani przy pracy. My sobie tu posiedzimy, a – u pani dziś pranie, jak się zdaje – mówił Stalky. – My pani nie będziemy zawracali głowy. Niech pani na nas zupełnie nie zważa. Tak. Śmietany aż za dużo!

Kobieta odeszła, obcierając o fartuch czerwone ręce i pozostawiła ich samych w poczekalni. Dał się słyszeć odgłos kroków na żwirze za oprawnymi w ołów, szlifowanymi szybkami, po czym zabrzmiał głos pułkownika Dabneya, nieco donośniejszy od trąbki.

– Czytać umiecie? Macie oczy w głowie? Proszę nie próbować przeczyć! Macie!

Beetle zerwał jakąś serwetkę szydełkową z ceratowej kanapy, wepchnął ją sobie w usta i zniknął, potoczywszy się w jakiś kąt.

– Pan widziałeś moje tablice! Pański obowiązek? Gwiżdżę na pański obowiązek! Podziwiam pańską bezczelność, mój panie! Pańskim obowiązkiem było trzymać się z dala od mych gruntów. On będzie mnie mówił o obowiązku! Jak to – jak to – jak to, zwyrodniały kłusowniku, pan mnie będziesz uczył? Ryczeć jak wół w tych krzakach w wawozie? Chłopcy? Chłopcy? Chłopcy? To trzymajcie swych dragali w domu! Ja nie jestem za waszych chłopców odpowiedzialny! Ale zresztą ja temu nie wierzę – nie wierzę ani słowa! Pan masz w oczach to chytre spojrzenie – chytre, niskie, kłusownicie spojrzenie w oczach, wystarczające, wystarczające, aby popsuć reputację archanioła! Nie próbuj pan przeczyć! To fakt! Sierżant? Tym bardziej powinieneś się pan wstydzić! Najgorszy interes, jaki kiedykolwiek zrobił Najjaśniejszy Pan! Sierżant latający po kraju i uprawiający kłusownictwo – na emeryturze! Karygodne! Oh, karygodne! Ale ja będę względny. Będę miłosierny. Na Boga, będę kwintesencją ludzkości. Widziałeś pan moje tablice czy nie? Nie próbuj pan przeczyć. Widziałeś! Milczeć, sierżancie!

Dwadzieścia jeden lat służby wojskowej wybiły na Foxy'm swe piętno. Umilkł.

– A teraz – marsz!

Wysoka brama szczęknięła, zamykając się.

---

<sup>26</sup> *dewoński* – pochodzący z hrabstwa Devon na Półwyspie Kornwalijskim w południowo-zach. Anglii. [przypis edytorski]

<sup>27</sup> *langue de guerre* (fr.) – język wojenny. [przypis edytorski]

– Mój obowiązek! Sierżant będzie mnie uczył obowiązków – parsknął pułkownik Dabney. – Boże! Znowu sierżanci!

– To King! To King! – dławił się Stalky z głową pod poduszką kanapy.

M'Turk pożerał dywanik przed niepokalany kominkiem, a kanapa skrzypiała w takt konwulsyjnych drgawek Beetle'a. Przez grube szkło widać było niebieskie, powykręcane, groźne figury.

– Ja... ja protestuję przeciw tej zniewadze!

King widocznie biegł pod górę.

– Ten człowiek spełniał tylko swój obowiązek. Pan pozwoli, że mu wręcę swą kartę wizytową!

– On jest w tenisowym kostiumie! – Stalky znów wsadził głowę pod poduszkę.

– Na nieszczęście – ku memu najwyższemu zmartwieniu – nie mam przy sobie ani jednego biletu, ale nazwisko moje jest King, szanowny panie, nauczyciel liceum i jestem gotów – najzupełniej gotów – ponieść wszelką odpowiedzialność za postępowanie tego człowieka. Widzieliśmy trzech...

– Widzieliście panowie moje tablice?

– Przyznaję, że tak, ale w tych okolicznościach...

– Ja jestem tu *in loco parentis*<sup>28</sup> – przyłączył się do dyskusji niski głos Prouta.

Można było słyszeć, jak sapał.

– Co takiego?

Pułkownik Dabney z każdą chwilą mówił coraz to wyraźniejszym akcentem irlandzkim.

– Jestem odpowiedzialny za chłopców znajdujących się pod moją opieką.

– Tak? Jest pan odpowiedzialny? Zatem wszystko, co panu mogę powiedzieć, jest, że daje im pan bardzo zły przykład – aby tak rzec, przykład fatalny! Nie znam waszych chłopców, nie widziałem waszych chłopców, ale powiadam panu, że gdyby tu z każdego krzaka szczyrzył zęby chłopak, panowie mimo wszystko nie macie krzty prawa włączyć mi tu przez wąwóz, płosząc wszystko, co w nim żyje. Proszę nie próbować przeczyć! Panowie tak zrobili. Należało przyjść do domku odźwiernego i zobaczyć się ze mną, jak przystoi na przyzwoitych ludzi, a nie robić obławy na chłopców wzdłuż i wszerz mej remizy. Pan jest *in loco parentis*? Doskonale, ja też łaciny jeszcze nie zapomniałem i powiem panu: *Quis custodiet ipsos custodes*<sup>29</sup>? Jeśli nauczyciele bezprawnie włożą na cudze grunta, jakże można ganić chłopców?

– Gdybym jednak mógł pomówić z panem prywatnie – odezwał się Prout.

– Nie mam z panem nic prywatnego. Może pan być tak prywatny, jak tylko się panu podoba, po drugiej stronie tej bramy; i – życzę panom dobrego popołudnia.

Brama znowu szczęknęła.

Chłopcy zaczekali, aż pułkownik Dabney odejdzie do domu, a potem padli sobie w objęcia, z trudnością chwytając oddech.

– O, mój Boże! O, mój King! O, moje Kopytko! Och, mój Foxy! Gorliwość, wszystko przez gorliwość, panie Cymbałkiewicz!

Stalky obtarł oczy.

– Och! Och! Och! Aleśmy ich ubrali! Trzeba iść, bo się spóźnimy na herbatę.

– We... we... weźcie borsuka i uszczęśliwcie jeszcze małego Hartoppa. U... u... szczęśliwie już wszystkich! – łkał M'Turk, szukając po omacku drzwi i kopiąc rozciągniętego na ziemi Beetle'a.

Znaleźli zwierzę w śmierdzącej skrzynce, zostawili dwie półkorony jako zapłatę i zataczając się ruszyli ku domowi. Borsuk chrząkał w sposób tak dziwnie podobny do pułkownika Dabneya, że dwa czy trzy razy upuścili go, piszcząc z niepohamowanego śmiechu. Nie przyszli jeszcze zupełnie do siebie, gdy Foxy spotkawszy chłopców na dziedzińcu koło klasy, zawiadomił ich, że mają się udać do swej sypialni i czekać, póki się po nich nie pośle.

---

<sup>28</sup> *in loco parentis* (łac.) – na miejscu rodziców, w zastępstwie rodziców. [przypis edytorski]

<sup>29</sup> *Quis custodiet ipsos custodes* (łac.) – kto pilnuje strażników. [przypis edytorski]

– Dobrze, wobec tego proszę zanieść tę skrzynkę do pokoju pana Hartoppa. Zrobiliśmy przynajmniej coś dla Towarzystwa Nauk Przyrodniczych! – rzekł Beetle.

– Obawiam się, panicze, że was to nie uratuje – odpowiedział groźnym głosem Foxy.

Czuł się w duchu boleśnie dotknięty.

– Nie ma strachu, Foxibus!

Czkawka Stalky'ego doszła do szczytu.

– My... my was nie opuścimy, Foxy. Ślusarz zawinił, a kowala powieszono, co...? Nie, wyście niczemu nie zawinili. Psy polujące na lisa w lesie zawsze trop gubią. Ja... ojej, niedobrze mi...

– Tym razem trochę się zagalopowali! – pomyślał Foxy. – Powiedziałbym nawet, że się bardzo zagalopowali i może gdzie co pili, choć nie czuć od nich trunkiem. A jednak – do pewnego stopnia jakby nie ci sami. Ale Kingowi i Proutowi dostało się nie gorzej ode mnie. Przynajmniej ta jedna pociecha...

– No, a teraz musimy się bronić! – rzekł Stalky, zrywając się z łóżka, na które się rzucił. – Jesteśmy, jak zwykle, uciśnioną niewinnością. Nie mamy najmniejszego pojęcia, dlaczego nas tu wysłano, nieprawdaż?

– Najmniejszego wytłumaczenia. Pozbawieni herbaty. Publiczna kompromitacja wobec całej klasy – mówił M'Turk, płacząc ze śmiechu. – To przecie nie żarty.

– Słuchajże, wytrzymaj, dopóki King nie straci panowania nad sobą – odezwał się Beetle. – Ten stary oszczerca pieni się pewnie z wściekłości i nie wytrzyma, żeby pierwszy nie zacząć. Prout jest na to za ostrożny. Uważaj głównie na Kinga i przy pierwszej sposobności odwołaj się do rektora. To ich zawsze do cholery doprowadza.

Zawezwano ich do gabinetu gospodarza domu, gdzie Proutowi asystowali King i Foxy, ten ostatni z trzema trzcinami pod pachą. King patrzył na nich triumfująco, bo na policzkach chłopców lśniły niewyschłe jeszcze łzy radości. Zaczęło się śledztwo.

Tak jest, szli wzdłuż skał. Tak jest, weszli na grunta pułkownika Dabneya. Tak jest, widzieli tablice graniczne z napisami – w tym miejscu Beetle załkał histerycznie. W jakim celu weszli na grunta pułkownika Dabneya?

– Tam był borsuk, prosz pampsora!

Tu King, który nie cierpiał historii naturalnej, ponieważ nie lubił Hartoppa, nie mógł już dłużej wytrzymać. Poprosił ich, aby do jawnego zuchwalstwa nie dodawali jeszcze kłamstw.

– Ależ borsuk znajduje się w mieszkaniu pana Hartoppa, prosz pampsora! Sierżant był tak grzeczny i sam go zaniósł.

W ten sposób została załatwiona kwestia borsuka, a ta chwilowa porażka doprowadziła podrażnienie Kinga do punktu wrzenia. Słysząc było, jak stukał nogą w podłogę, podczas gdy Prout układał swe niedołęzne pytania. Teraz już miała się zacząć walka na ostre. Oczy ich zgasty, twarze stały się nieme, ręce zwiły wzdłuż boków bez ruchu. Kosztem rodaka mieli wziąć odwieczną lekcję swej rasy, polegającą na pozbyciu się wszelkiego podniecenia i zamknięciu przeciwnika w pułapce w odpowiedniej chwili. Jak dotąd, szło wszystko dobrze. King coraz bardziej mieszał się do śledztwa, okazując mściwość tam, gdzie Prout był tylko obrażony. Czy znane im są kary grożące za przekroczenie granicy? Stalky z doskonale ułożoną miną niezdecydowania przyznał, że coś niecoś o nich słyszał, ale myślał... Zdanie było naciągnięte do ostateczności: Stalky nie chciał wygrywać swych atutów wobec takiego przeciwnika. Mr. King nie pytał o żadne „ale” i nie był zupełnie ciekaw wykrętów Stalky'ego. Za to z drugiej strony może być, iż ich zajmie jego skromne zdanie. Chłopcy, którzy wymykają się – przekradają – ukrywają poza granicami, nawet poza granicami zakreślonymi wielkodusznie przez Towarzystwo Nauk Przyrodniczych, do którego się podstępnie zapisali, aby mieć płaszczyk dla swych przestępstw – ich występki – ich łajdactwa – ich niemoralność...

– Trzaśnie w tej chwili! – rzekł do siebie Stalky. – A wówczas wlecimy na niego, zanim się będzie mógł wycofać.

– Tacy chłopcy, zepsuci, trąd moralny – prąd własnych słów poderwał Kingowi nogi i poniósł go – oszczercy, kłamcy, lenie, początkujący pijacy...

On zmagął się tylko ze zdaniem, chcąc dobrnąć do końca i chłopcy wiedzieli o tym; ale M'Turk przeciął ten szumny frazes i Stalky i Beetle powtórzyli za nim jak echo:

– Apeluje do pana rektora, panie profesorze.

– Apeluje do pana rektora, panie profesorze.

– Apeluje do pana rektora, panie profesorze.

Było to ich niezaprzeczone prawo. Za opilstwo groziła publiczna chłosta i wydalenie. To im zarzucano. Ta sprawa należała do rektora i do nikogo innego, jak tylko do niego.

– Odwołałeś się do Cezara i przed Cezarem staniesz!

Słyszeli już to zdanie raz czy dwa razy przedtem w ciągu swej kariery.

– Niemniej – ciągnął King zaniepokojony – radziłbym wam poprzestać na naszym wyroku, moi młodzi przyjaciele.

– Czy mamy trzymać się z dala od swych kolegów aż do widzenia się z panem rektorem? – zwrócił się M'Turk do swego gospodarza klasy, nie zwracając uwagi na Kinga.

To podniosło sytuację do punktu kulminacyjnego. Równocześnie oznaczało to też zwolnienie od nauki, bo parszywe owce surowo izolowano, zaś rektor sądził sprawy zawsze na zimno po dwudziestu czterech godzinach.

– Niestety, skoro zuchwale trwacie na swoim stanowisku – rzekł King, z żalem patrząc na trzciny pod pachą Foxy'ego. – Tu nie ma alternatywy.

W dziesięć minut później wieść obleciała już całą szkołę. Nareszcie „Stalky i Spółka” wyspali się dzięki picciu. Pili. Pijani jak bele wrócili z chaty. Beznadziejnie urzędnicy leżą teraz na podłodze w sypialni. Paru śmielszych chłopców próbowało zajrzeć do nich ukradkiem przez okienko w drzwiach, ale zbrodniarze rzucali w nich butami.

– Złapaliśmy go – złapaliśmy go w kaudyńskie jarzmo! – rzekł Stalky, zmusiwszy ciekawych do ucieczki. – King pojedzie teraz na całego.

– I wpadnie! – odezwał się Beetle. – Nie mówiłem, że wystrzeli, jeśli się nie damy wyprowadzić z równowagi?

– A prócz tego nie robimy dziś korepetycji, o wy, początkujący pijacy! – dodał M'Turk – i mamy spokojną noc. Hallo! Nasz ukochany przyjaciel, Foxy! Nowe tortury, Foxibus?

– Przyniosłem paniczom coś zjeść! – rzekł sierżant spoza zastawionej tacy.

Wojny między nim a chłopcami prowadzone były bez złośliwości, a prócz tego Foxy nie mógł się obronić podejrzeniu, że chłopcy, którzy się dali tak łatwo wysledzić, mogą mieć coś w rezerwie. Foxy służył w Indiach w czasie Wielkiego Buntu, kiedy dokładna informacja w porę była dużo warta.

– Zauważyłem... – zauważyłem, że panicze nie mają co jeść, powiedziałem to Gumbly'emu, a on powiedział, że dowóz żywności dla paniczów nie jest odcięty. Więc paniczom to przyniosłem. To puszka z pańską szynką marynowaną, prawda, panie Corkan?

– Foxibus, wy jesteście dobry chłop! – wykrzyknął Stalky. – Nie przypuszczałem nawet, że macie tak dobre – Beetle, jak się to mówi?

– Flaki! – odpowiedział Beetle bez namysłu. – Dziękuję, panie sierżancie. Ale to szynka Cartera młodszego.

– Na puszcze jest C. Myślałem, że to pana Corkrana. Panowie, to bardzo poważna sprawa. Bardzo poważna. W końcu, ja nie wiem, ale może być, że panowie wiecie coś, czegoście nie chcieli powiedzieć Mr. Kingowi lub Mr. Proutowi, czy nie?

– Pewnie, że wiemy. Całą kupę, Foxibus! – rzucił Stalky ustami pełnymi jedzenia.

– Widzicie panowie, ja sobie od razu pomyślałem, że jeśli tak, to ja mógłbym to przedstawić spokojnie – że tak powiem – panu rektorowi, jak mnie o to będzie pytał. Mam mu dzisiaj wieczorem zanieść oskarżenie – bardzo brzydko wygląda!

– Paskudnie, Foxy. Dwadzieścia siedem kijów w sali gimnastycznej w obecności całej szkoły i publiczne wydalenie. „Wino to kpiny, ale wódka niszczy” – zacytował Beetle.

– Nie ma się z czego śmiać, proszę paniczów. Ja mam oskarżenie panu dyrektorowi zanieść. A... a panicze, może być, nie zauważyli nawet, że ja dziś za nimi szedłem... na podstawie pewnych podejrzeń.

– Widzieliście moje tablice? – zagrział M'Turk, naśladowując łudząco akcent pułkownika Dabneya.

– Macie oczy w głowie. Nie próbujcie przeczyć. Macie! – rzucił Beetle.

– Sierżant! Wałęsający się po kraju i uprawiający kłusownictwo – na emeryturze! Karygodne, o, karygodne! – ciągnął Stalky bez miłosierdzia.

– Rany boskie! – wykrzyknął sierżant, siadając ciężko na łóżku. – Gdzież... gdzież, do diabła, wyście siedzieli? Powinienem się był domyśleć, że to podstęp!

– Ach, poczciwy wariacie! – zreasumował Stalky. – My mielibyśmy nie zauważyć, że wy za nami dziś po południu idziecie, no nie? Zdawało się wam, że nas wystawiacie, co? A tymczasem to myśmy was wciągnęli w zasadzkę, żebyście sobie wiedzieli! Pułkownik Dabney – co o nim powiecie, Foxy, byczy mąż<sup>30</sup>, co? – pułkownik Dabney jest naszym serdecznym, osobistym przyjacielem. Od tygodni już tam chodzimy. Sam nas zaprosił. Wasz obowiązek? Gwiżdżę na wasz obowiązek! Waszym obowiązkiem było trzymać się z dala od jego remizy.

– Nie będziecie teraz mogli nikomu w oczy spojrzeć, Foxy. Mikrusy was wygwizdzą! – podsunął Beetle. – Pomyślcie tylko o swojej wścieklej powadze!

Sierżant myślał – dłuższy czas.

– Niech panicze posłuchają! – odezwał się poważnie. – Panicze z całą pewnością nikomu o tym nie powiedzą, prawda? Nie było przy tym także Mr. Prouta i Mr. Kinga?

– *Foxibusculus* było. I to było – szczególnie okropne. Im dostało się gorzej niż wam. Słyszeliśmy każde słowo. Wam się jeszcze stosunkowo upiekło. Swoją drogą przysięgam, że gdybym był Dabneyem, kazałbym wam zapłacić grzywnę. Trzeba mu to będzie jutro podsunąć.

– I to wszystko pójdzie do pana rektora! O, mój Boże!

– Każde słóweczko, mój złoty Czinganguku! – mówił Beetle, wiodąc wesoły pług. – I dlaczegóżby nie? Przecież my nie zrobiliśmy nic złego. My nie jesteśmy kłusownikami. My nie staraliśmy się oczerniać biednych, niewinnych chłopców – rozpowiadając, że oni piją.

– Tego ja nie powiedziałem! – zaprzeczył Foxy. – Ja... ja mówiłem tylko, że panicze byli niezwykle weseli, jak panicze przyszli z tym borsukiem. Może być, że Mr. King wyciągnął stąd fałszywy wniosek.

– Pewnie, że tak; i cały wstyd spadnie na niego, kiedy zobaczy, że nie miał racji. Wy Kinga nie znacie, ale my go znamy. Wstydzę się za was. Nie jesteście godni być sierżantem – rzekł M'Turk.

– Pewnie, że nie nad takimi przebiegłymi młodymi diabłami jak panicze! Złapano mnie. Wpadłem w zasadzkę. Z kawalerią, piechotą i artylerią złapano mnie – i teraz już mikrusy nie dadzą mi spokoju. Prócz tego rektor pośle mnie z listem do pułkownika Dabneya z zapytaniem, czy to prawda, że paniczów zaprosił.

– Lepiej będzie, żebyście tym razem szli przez bramę, zamiast polować na swych przeklętych chłopców – o, ale to stosowało się do Kinga, tak. No i cóż, Foxy?

Stalky oparł brodę na dłoni i przyglądał się ofierze z niewypowiedzianą rozkoszą.

– *Ti-ra-la-la-i-tu!* Oto mój śpiew zwycięski! Słuchajcie! – odezwał się M'Turk. – Foxy przyniósł nam herbaty, mimo że jesteśmy parszywymi owcami. Foxy ma serce. Prócz tego – był żołnierzem. Służył w armii.

– Chciałbym mieć paniczów w swej kompanii! – westchnął sierżant z głębi duszy. – Dałbym ja wam szkołę!

---

<sup>30</sup> *byczy mąż* (daw. pot.) – wspaniały facet. [przypis edytorski]

– Milczeć, kiedy bębnią na sąd wojenny! – zawołał M'Turk. – Ja stoję w obronie oskarżonego. Prócz tego ta cała historia jest za dobra, żeby się na niej te bałwany w budzie poznały. Oni tego *nigdy* nie rozumieją. Oni grają w palanta i mówią: „Tak jest, prosz pampsora!” i: „Nie, prosz pampsora”.

– Jechał ich sęk. Ryp dalej.

– Otóż Foxy, jeśli się nie ma za wielkiego cwaniaka, jest bardzo dobry chłop.

– Nie wyjeżdżajcie z psami na polowanie w wietrzny dzień! – zaśpiewał Stalky. – *Ja* nie mam nic przeciw temu, żeby go uwolnić.

– Ani ja! – zgodził się Beetle. – Moja jedyna radość, to Kopycissumus<sup>31</sup> – Kopycissimus i King.

– Ja przecież musiałem! – rzekł sierżant żałośnie.

– Słusznie! Sprowadzony przez złe towarzystwo z drogi cnoty przy wykonywaniu obowiązku lub coś w tym rodzaju. Uwalniamy was, poprzestając na udzieleniu nagany, Foxy. Nikomu o was nic nie powiemy. Przysięgam, że nie powiemy! – zakończył M'Turk. – Wpłynęłoby to bardzo źle na dyscyplinę budy. Nadzwyczaj źle.

– Niech będzie! – odezwał się sierżant, zbierając przybory do herbaty. – Znając dobrze młodych diab... panów w liceum, cieszę się, że to słyszę. Ale co mam powiedzieć panu rektorowi?

– Co się wam żywnie podoba, Foxy. *My* nie jesteśmy przestępcami.

Powiedzieć, że rektor zgryzł się, kiedy po obiedzie zjawił się u niego sierżant z raportem dziennym o zbrodni, byłoby mało.

– Corkran, M'Turk i Spółka, rozumie się. Przekroczenie granic, jak zwykle. Hallo! A to co, do licha. Podejrzenie o używanie trunków. Czyje oskarżenie?

– Mr. Kinga, proszę pana rektora. Ja istotnie złapałem ich na przekroczeniu granic; przynajmniej tak to wyglądało. Ale o tym wszystkim dałoby się dużo powiedzieć.

Sierżant był najwyraźniej zmieszany.

– No, więc mówcie! – rzekł rektor. – Chcę słyszeć wasze zdanie.

On i sierżant pracowali już wspólnie najmniej siedem lat, a dyrektor wiedział, że doniesienia Mr. Kinga zależne są bardzo często od jego humoru.

– Myślałem, że oni tam, na skałach, przekroczyli granice. A tymczasem pokazało się, że nie, proszę pana rektora. Widziałem, jak wchodzili w krzaki na gruntach pułkownika Dabneya i... przyszedł Mr. King z Mr. Proutem... i... fakt jest, że służba pułkownika Dabneya wzięła nas przez omyłkę za kłusowników – Mr. Kinga, Mr. Prouta i mnie. Po obu stronach padło parę słów, proszę pana rektora. Panicze w jakiś sposób prześliznęli się i wrócili do domu nadzwyczajnie rozbawieni. Mr. Kinga skrzyczał sam pułkownik Dabney – pan pułkownik Dabney jest bardzo surowy. Wtedy chłopcy oświadczyli, że wolą odwołać się wprost do pana rektora – względem tego, co Mr. King mówił potem o ich zachowaniu się w kancelarii Mr. Prouta. Ja powiedziałem tylko, że byli bardzo rozbawieni, śmiali się, chichotali, trochę jakby niespełna zmysłów. A później, proszę pana rektora, oni mi powiedzieli, po swojemu żartując, że pułkownik Dabney sam ich zaprosił i pozwolił im chodzić po swoim lesie.

– Aha! I, oczywiście, gospodarzowi klasy o tym nie powiedzieli.

– Oni apelowali od Mr. Kinga, jak tylko zaczął mówić o ich zachowaniu się. Od razu odwołali się do pana rektora i zażądali, aby ich odesłano do sypialni, gdzie mają czekać, aż ich pan rektor zawoła. I tam znowu z ich żartów, jak to oni zwykle, poznałem, proszę pana rektora, że nie wiem już w jaki sposób, słyszeli do najmniejszego słówka wszystko, co pułkownik Dabney powiedział Mr. Proutowi i Mr. Kingowi, mając ich niby za kłusowników. – Ja... ja powinienem się był domyślić, kiedy zaczęli mnie wodzić za sobą, nie wypuszczając z rąk wewnętrznej linii komunikacji. Sprawa jest, proszę pana rektora, zupełnie jasna – przynajmniej tak *mnie* się zdaje; teraz oni śmieją się tam jak wariaty w sypialni.

---

<sup>31</sup> *Kopycissumus* – żart słowny; do przezwiska Kopytko Beetle dodał łaciński format *-issimus*, oznaczający najwyższy stopień przymiotnika, jak np. w słowie *sollertissimus*: najbieglejszy. [przypis edytorski]

A rektor zrozumiał – zrozumiał wszystko do najdrobniejszego szczegółu – i wargi mu zadrgały z lekka pod wąsem.

– Proszę ich zaraz przysłać do mnie, sierżancie. To można od razu załatwić.

– Dobry wieczór! – rzekł, ujrzawszy trójkę pod eskortą sierżanta. – Potrzebuję na parę minut waszej niepodzielnej uwagi. Wy znacie mnie już pięć lat, a ja was – dwadzieścia pięć. I zdaje mi się, że się już rozumiemy doskonale. Otóż chciałbym poczęstować was jak należy. (Proszę, sierżancie, ta brunatna trzcinka, tak, dziękuję. Możecie odejść). Mam zamiar, Beetle, zagrać ci bez ładu i składu. Ja wiem, że wy chodzicie do lasu pułkownika Dabneya dlatego, że was sam zaprosił. Nie myślę nawet posyłać sierżanta z zapytaniem, czy to prawda, bo jestem pewny, że tym razem trzymacie się prawdy ściśle. Wiem także, żeście nie pili. (M'Turk, przestań robić tę cnotliwą minę, bo zacznę się obawiać, że mnie nie rozumiesz). Reputacja wasza jest nieposzlakowana. I oto dlatego ja dopuszczę się teraz krzyczącej niesprawiedliwości. Uczyniono krzywdę waszej dobrej sławie, nieprawdaż? Skompromitowano was przed całą szkołą, czyż nie? Jesteście szczególnie dbali o honor swej klasy, prawda? Bardzo słusznie! A teraz weźmiecie wały.

To rzekłszy, wymierzył każdemu po sześć odlewanych.

– A to, sędzę – tu dyrektor położył na swoim miejscu trzcinkę i rzucił skargę do kosza – sprawę reguluje ostatecznie. Ile razy spotka was coś, co się uchyla od normy – zapamiętajcie sobie, bo to się wam przyda w późniejszym życiu – przyjmijcie to w sposób nienormalny. Ale to mi coś przypominało. Tu na tej półce jest cały stos różnych romansideł. Możecie sobie je brać, potem położycie na swoim miejscu. Nie myślę, żeby im czytanie na świeżym powietrzu zaszkodziło, przeciwnie, czuć je tytoniem, więc nawet przydałoby się przewietrzyć. – Na korepetycje pójdziecie wieczorem jak zwykle. Dobranoc! – zakończył ten zdumiewający człowiek.

– Dobranoc i dziękujemy panu rektorowi!

– Przysięgam, że dziś wieczór zmówię za starego modlitwę – rzekł Beetle. – Dwa ostatnie uderzenia dostałem wprost na kołnierz. Na niższej półce jest *Monte Christo!* Widziałem na własne oczy. Zapowiadam, że to ja biorę następnym razem do Groty.

– Byyyczy gość! – zachwycał się M'Turk. – Ani mowy o kozie. Żadnego wiercenia dziury w brzuchu. Żadnych zadań za karę! Wszystko załatwione. Ale, ale! Po cóż to idzie do niego King – King i Prout!

Jakakolwiek była natura tej wizyty, nie poszła ona w smak ani Kingowi, ani Proutowi, albowiem kiedy wyszli z domu rektora, sześć oczu zauważyło, że pierwszy był aż po sam nos czerwony i niebieski z irytacji, zaś drugi pocił się obficie. Widok ten wynagrodził szczerze kazanie, jakim ich obaj nauczyciele zaszczyli. Dowiedzieli się – nikt nie był więcej od nich zdziwiony! – że zataili istotne fakty, byli winni tak *suppressionis veri*<sup>32</sup> jak *suggestionis falsi*<sup>33</sup> (dobrze znani bogowie, przeciw którym oni sami często grzeszyli); następnie, że mają złośliwe usposobienie, że są nieszczerzy, podstępni, że wywierają wpływ rewolucyjny, że opętał ich szatan swawoli, dumy i nieznośnej zarozumiałości. A po dziewiąte i ostatnie, aby się mieli na baczności i dobrze uważali.

Toteż mieli się na baczności i uważali tak dobrze, jak to potrafią tylko chłopcy, kiedy chcą komuś dokuczyć. Wyczekali cały przysiębiający tydzień, dopóki Prout i King nie odzyskali poczucia swego majestatu; wyczekali dzień meczu klasowego i to swej własnej klasy – w którym Prout brał udział; wyczekali wreszcie, kiedy się w pawilonie przygotował do zwycięskiego boju i miał już wyjść. King siedział w oknie, mając zapisywać punkty, zaś nasza trójka usiadła pod oknem na ławce.

A wówczas rzekł Stalky do Beetle'a:

– Czy nieprawda, Beetle, że *quis custodiet ipsos custodes?*

– Daj się wypchać! – odpowiedział Beetle. – Ja nie chcę z tobą mieć nic prywatnego. Możesz sobie być prywatnym, ile ci się podoba, na drugim końcu ławki. I życzę ci szczęśliwego popołudnia.

---

<sup>32</sup> *suppressionis veri* (łac.) – zatajenia prawdy. [przypis edytorski]

<sup>33</sup> *suggestionis falsi* (łac.) – sugerowania nieprawdy. [przypis edytorski]

M'Turk ziewnął.

– Dobrze, ale powinniście byli przyjść do domku odźwiernego i zobaczyć się ze mną, jak przyzwoici ludzie, zamiast uganiać się za swoimi – hem – chłopcami wszerej i wzdłuż po mej remizie. *Ja* myślę, że te wszystkie mecze klasowe są do Dunaju<sup>34</sup>. Chodźmy do pułkownika Dabneya zobaczyć, czy nie złapał znowu jakichś kłusowników.

Tego popołudnia radość panowała w Grocie.

---

<sup>34</sup> *do Dunaju* – tu: do niczego (w daw. żargonie uczniowskim). [przypis edytorski]

## Niewolnicy lampy

### Część pierwsza

Sala muzyczna, znajdująca się nad pracownią Nr 5, pełna była aktorów zgromadzonych dla odbycia próby z *Aladyna*. Dickson Quartus, powszechnie znany jako Dick IV, był Aladynem, dyrektorem teatru, baletmistrem, poławą orkiestry i po większej części librecistą, ponieważ scenariusz przerobiono i uzupełniono mnóstwem aluzji lokalnych. Spektakl miał być wystawiony za tydzień, na dole, w gabinecie Aladyna, Ebenezara i Cesarza Chińskiego. Niewolnik Lampy<sup>35</sup> zajmował wraz z księżniczką Badroulbador i wdową Klepicką gabinet tuż naprzeciw gabinetu Nr 5, skutkiem czego trupa mogła się zbierać bez trudności. Podłoga aż się trzęsła od przytupywań i hołubców baletu, podczas gdy Aladyn, w czerwonych trykotach<sup>36</sup>, błękitnym, świecidełkami naszytym kaftanie i w kapeluszu z piórami, grał na zmianę to na pianinie, to na swym banjo. Był duszą całej zabawy, jak przystało na „seniora”, który zdał już wstępny egzamin do szkoły wojskowej i ma nadzieję dostać się z najbliższą wiosną do Sandhurst.

Nareszcie Aladyn odzyskał swoje, Ebenezar otruty leżał na podłodze, wdowa Klepicka odtańczyła solo i wszyscy zadecydowali, że przedstawienie się uda.

– Tylko co weźmiemy na finał? – odezwał się Cesarz, wysoki, przystojny chłopak z cieniem wąsów, do których sięgał po męsku. – Przydałaby się jakaś bycza stara melodia!

– *John Peel?*, *Drink, Puppy, drink?* – poddawał Ebenezar, gładząc swą szeroką, bladolila piżamę.

Kicia Ebenezar wyglądał zawsze, jak gdyby się tylko na pół obudził, miał jednak łagodny, poczciwy uśmiech, który doskonale nadawał się do roli Podstępnego Wuja.

– Zanadto oklepane! – skrzywił się Aladyn. – To już by można wziąć i *Jak to miło wieczór bywa!* Stalky, coś ty nucił wczoraj podczas korepetycji?

Stalky, Niewolnik Lampy, w czarnych trykotach i w kamizelce, w krótkiej masce z czarnego jedwabiu, zagwizdał coś leniwie, leżąc na górze, na pudle pianina. Była to skoczna melodia z music-hallu.

Dick IV potrząsnął krytycznie głową i spojrzał zezem ponad swój długi, czerwony nos.

– Jeszcze raz, może mi się uda złapać! – rzekł, brzdąkając na fortepianie. – Jakie słowa? Zaśpiewaj!

Arrah, Patsy, pilnuj dziecka! Patsy, swego dziecka patrz!  
Pięknie otul je kołderką, bo znów będzie straszny płacz!  
Arrah, Patsy, pilnuj dziecka; choć na chwilę na nie bacz,  
Bo noc całą krzyczeć będzie! Patsy, dziecka swego patrz!

– Bycze, och, bycze! – pochwalił Dick IV. – Tylko że na przedstawieniu nie będziemy mieli pianina. Trzeba się tego nauczyć na banjo – równocześnie grać i tańczyć. Spróbuj, Tertius.

Cesarz odrzucił jasnozielone rękawy swego stroju monarszego i zaczął Dickowi akompaniować na ciężkim, wykładanym niklem banjo.

– Bardzo ładnie, ale zapominasz, że ja już wtedy nie żyję. I, w dodatku, leżę jak byk na środku sceny.

---

<sup>35</sup> *Niewolnik Lampy* – dzinn. [przypis edytorski]

<sup>36</sup> *trykoty* (daw.) – obcisty strój gimnastyczny. [przypis edytorski]

– Prawda, ale to nic, to Beetle może jakoś zrobić! – rzekł Dick IV. – No, Beetle, załatajże to! Prędzej, całą noc tu siedzieć będziemy? Musisz wyciągnąć jakoś Kicię ze światła i doprowadzić nas wszystkich, tańcząc, do końca.

– Dobra. Więc zaczynajcie wy dwaj! – rzekł Beetle, który w szarym szlafroku i kasztanowej peruce z lokami jak kielbaski, włożonej na bakier na parę okularów uszlachetnionych starym sznurowadłem, reprezentował wdowę Klepicką. Zaczął kiwać jedną nogą do taktu wyrąbywanego na pianinie refrenu, a banja zabrzęczały głośniejsze.

– Hm. Aha. „Aladyn odnalazł swą żonę” – zaśpiewał, a Dick IV powtórzył za nim.

– Wasz cesarz dał się przebłagać! – huknął Tertius dumnie wystawiając piersi.

– A teraz ty, Kiciu, wstawaj. Powiedz: „Sądzę, że lepiej będzie zmartwychwstać!”. Teraz wszyscy biorą się za ręce i idą ku przodowi sceny: „Zdaje nam się, że wszyscy są zadowoleni”. Kapujecie?

– Kapuję. Nieźle. A jeszcze chór do baletu „finale”? To cztery kopniaki i piruet! – mówił Dick Czwarty.

– Chór? Aha! Jest:

John Short spuszcza kurtynę  
I woła, że już dość;  
Wyrzucać nikogo nie trzeba,  
Sam pójdzie każdy gość!

– Byczo! Byczo! A teraz scena wdowy z księżniczką. Turkey, prędzej!

M'Turk w fioletowej, jedwabnej sukni i zgrabnym, błękitnym turbanie wysunął się naprzód nieśmiało, jak ktoś, kto się samego siebie niesłychanie wstydzi. Niewolnik Lampy zsunął się z pianina i skopał go z zimną krwią.

– Graj, Turkey! – zachęcał go. – To nie są żadne żarty!

Ale w tej chwili rozległo się w drzwiach pukanie władcy. Był to przypadkiem King, który w czarnym ubraniu i moździerz na głowie wyprawił się na wieczorny podjazd przed obiadem.

– Drzwi zamknięte na klucz! Drzwi zamknięte na klucz! – warknął, marszcząc brwi. – Cóż to ma znaczyć? I jakież cel – jeżeli mi wolno zapytać – ma to... to dziwaczne przebranie?

– Przedstawienie, prosz pampсора. Pan rektor dał nam pozwolenie – odpowiedział Ebenezar jako jedyny w zgromadzeniu uczeń szóstej klasy. Dick IV stał mężnie w dumnym poczuciu dobrze leżących trykotów, ale Beetle starał się ukryć za pianinem. Czarny szlafrok, wypożyczony od matki jednego z eksternistów, i pstrokaty, bawełniany gorset, niesymetrycznie wypchany papierem, może człowieka ośmieszyć. A i pod innymi względami miał Beetle także nieczyste sumienie.

– Zawsze ci sami! – zaśmiał się King szydyczko. – Czcze błżeństwa w chwili, kiedy kariery wasze, jakie by one tam już były, ważą się na szali. Oczywiście! Ach, rozumie się! Stara szajka zatwardziałyh grzeszników – sprzymierzone siły anarchii – Corkran...

Niewolnik Lampy uklonił się grzecznie.

– M'Turk...

Irlandczyk uśmiechnął się.

– I, oczywiście, nieoceniony Beetle, nasz kochany Gigadibs.

Ebenezar, Cesarz i Aladyn cieszyli się względnie lepszą opinią, wobec czego King ich ominął.

– Chodź no tu, mój ty bufonie mały, pismaku jeden, wylaż spoza tego instrumentu muzycznego. Jak się domyślam, jesteś dostawcą wierszydeł dla tej biesiady duchowej. Uważasz się, oczywiście, iż tak rzekę<sup>37</sup>, za poetę?

---

<sup>37</sup> rzekę (daw.) – rzeknę, powiem. [przypis edytorski]

– Z pewnością znalazł jakiś wiersz! – pomyślał Beetle, zauważywszy rumieniec na kości policzkowej Kinga.

– Miałem właśnie rozkosz przeczytania jednej z takich twoich elukubracji pod moim adresem, elukubracji, która zdaje mi się, pretendowała do rymów. Zatem – zatem kpi się ze mnie, mistrzu Gigadibs, nieprawdaż? Ja doskonale rozumiem – nie potrzebujesz mi tego tłumaczyć – że to nie było przeznaczone dla mojego większego zbudowania. Toteż uśmiełem się do łez, czytając to – do łez! Takie papierowe, sztubackie pociski – bo jesteśmy sztubakiem, to trudno, mistrzu Gigadibs – nie zdołają wyprowadzić mnie z równowagi.

– Ciekawy jestem, co to mogło być! – myślał Beetle.

Puścił on już niejednego paszkwil między wdzięcznych czytelników, od czasu jak zmiarkował, że można wierszem wymierzać sobie sprawiedliwość.

Na dowód swego niezmaconego spokoju King w dalszym ciągu krajał na sztuki powoli Beetle'a, którego wciąż przezywał Gigadibsem. Począwszy od niezawiązanych sznurowadeł u bucików, a skończywszy na jego uszlachetnionych okularach (życie poety w wielkiej szkole jest bardzo ciężkie!) wystawiał go na śmiech kolegów – ze zwykłym rezultatem. Dzikie kwiatki jego wymowy – sposób wyrażania się Kinga był bardzo przykry – przywróciły mu wreszcie dobry humor. Nakreślił ponury obraz końca Beetle'a jako karczemnego pamflecisty, zdychającego na poddaszu, sypnął paru komplementami w stronę M'Turka i Corkrana i przypomniał Beetle'owi, że ma się zgłosić, jak będzie zawezwany w sprawie tych wierszy, udał się do wspólnej sali, gdzie w dalszym ciągu natrzęsał się ze swych ofiar.

– A co najgorsze – wyładał głośno, pochylony nad talerzem zupy – to to, że marnuję takie perły sarkazmu na te zakute pałki! Głowę daję, że oni się na tym nie rozumieją.

– No, tego bym nie powiedział – wycedził z wolna kapelan. – Nie wiem, jak Corkran zapatruje się na pański styl, ale młody M'Turk czyta Ruskina<sup>38</sup> dla własnej przyjemności.

– Błaga! Udaję tylko! Absolutnie nie wierzę temu pośepnemu Celtowi.

– Wcale nie. Wstąpiłem tam do nich raz wieczorem nieoficjalnie i widziałem, jak M'Turk pożerał cztery stare numery „Fors Clavigera”<sup>39</sup>.

– Ja tam ich życia prywatnego nie znam – odezwał się żywo nauczyciel matematyki – ale z własnego przykrego doświadczenia wiem, że pracownię Nr 5 najlepiej zostawić w spokoju. To młode diabły, absolutnie bez serca.

Zaczerwienił się, kiedy dokoła stołu rozległ się śmiech.

A tymczasem w sali muzycznej panował gniew i złorzeczenie.

Tylko Stalky, Niewolnik Lampy, leżał niewzruszony na pianinie.

– To pewnie ta świnka Manders młodszy pokazał mu ten twój kawałek. On się mu wciąż podlizuje. Idź i daj mu po łbie! – odezwał się naraz. – Co to był za kawałek, Beetle?

– Bo ja wiem! – odpowiedział Beetle, wyłuskiwując się z trudem z szlafroka. – W jednym było o jego uganianiu się za popularnością wśród mikrusów, a drugie o tym, jak on siedzi w piekle i mówi Lucyferowi, że zawsze był wiernym sługą Beliala. Na mą duszę, przysięgam wam, że rymy w obu wierszach były dobre. Jak Boga mego! Może Manders młodszy pokazał mu oba wiersze? No, poprawię ja mu specjalnie cezury!

Zbiegł o dwa piętra niżej, wpadł na małego biało-czerwonego chłopca w sali znajdującej się koło pracowni Kinga, która znów znajdowała się tuż pod jego własną pracownią, i popędził chłopca korytarzem w górę ku sali wyznaczonej na uświęcone bankiety trzeciej przygotowawczej. Wynurzywszy się stamtąd silnie rozczochrany, wrócił do swej pracowni, gdzie zastał Stalky'ego, M'Turka i innych przy obfitym „korycie” – na które składała się kawa, kakao, babka, świeży chleb

---

<sup>38</sup> John Ruskin (1819–1900) – ang. pisarz i krytyk. [przypis edytorski]

<sup>39</sup> Fors Clavigera – seria pamfletów politycznych Johna Ruskina. [przypis edytorski]

jeszcze gorący i parujący, sardynki, kiełbasa, pasztet z szynki i ozora, sardele, trzy rodzaje konfitur i tyleż funtów dewonszyrskiego kremu.

– Jak Boga kocham! – wykrzyknął, rzucając się na jedzenie. – Któż to funduje, Stalky?

Było tylko miesiąc do końca kursu, skutkiem czego w pracowniach od tygodni już panował błąd głód.

– Ty! – rzekł pogodnie Stalky.

– Bodaj cię jasny piorun! Z pewnością zastawiłeś moje niedzielne portki!

– Nie irytuj się...! Tylko zegarek.

– Zegarek! Zgubiłem go – przed paru tygodniami na Burrows, kiedyśmy próbowali wystrzelić starą przybitkę – wtedy, co to nam pistolet rozerwało...

– Zegarek wypadł ci z kieszeni (jesteś cholerycznie roztargniony, Beetle) i M'Turk i ja przechowywaliśmy go dla ciebie. Nosilem go przez tydzień, a tyś nawet nie zauważył. Dziś po południu zaniósłem go do Bideford. Dostałem trzysta sześćdziesiąt szylingów i siedem szóstek. Tu masz kartkę z lombiku<sup>40</sup>.

– Dziwnie gładko to u was idzie! – rzekł Ebenezar spoza góry kremu zmieszanego z marmoladą, ujrzawszy, że Beetle, uspokojony co do swych spodni niedzielnych, nie okazuje ani zdziwienia, ani nawet żalu. Za to M'Turk, wpadłszy w pasję, zawołał:

– Tyś mu oddał kartkę, Stalky? Zegarek zastawiłeś? Ty podłe bydło! A zeszłego miesiąca toście mój wraz z Beetle'em sprzedali! Ani nawet nie powąchałem żadnej kartki!

– To co innego! To było dlatego, żeś ty zamknął na klucz swój kufer i myśmy prawie pół popołudnia stracili na odbijaniu go. Widzisz M'Turk, gdybyś się był zachowywał jak porządny człowiek, też byśmy zegarek zastawili.

– Jak babcię kocham! – wykrzyknął Ebenezar. – Wy jesteście komuniści! W każdym razie – dziękczynienia dla Beetle'a.

– To niesprawiedliwość – odezwał się Stalky – bo przecie cała robota z zastawieniem zegarka spadła na mnie. Beetle nawet nie wiedział, że ma zegarek. Ale, ale, Króliczy Bobek podwiózł mnie dziś do Bidefordu.

Króliczy Bobek był furmanem miejscowym – wykwit starej formacji dewońskiej. Stalky był autorem jego niepięknego przezwiska.

– Musiał być dobrze zalany, inaczej by tego nie zrobił. Ale Króliczy Bobek ma przede mną pietra. Zresztą przysiągłem mu, że między nami jest teraz *pax* i dałem mu parę szóstek. Przystawał przed dwiema karczmami przy drodze i będzie dziś wieczór pijany jak pień. Nie czytaj, Beetle, teraz jest rada wojenna. Co, do diabła, stało się z twoim kołnierzykiem?

– Zapędziłem Mandersa młodszego do jadalni trzeciej przygotowawczej. Wszystkie mikrusy rzuciły się na mnie! – odpowiedział Beetle spoza puszek sardeli i książki.

– Ośle głupi! Ostatni idiota mógł być zgadnąć gdzie Manders młodszy zastawi pułapkę – rzekł M'Turk.

– Nie myślałem o tym – powiedział Beetle bez najmniejszej urazy, wyławiając łyżką sardele.

– Pewnie, że nie. Ty w ogóle nie myślisz! – M'Turk poprawił kołnierzyk Beetle'a potężnym uderzeniem pięści. – Nie poplam mi oliwą mej „Fortis”, bo ci kości połamię.

– Kusz, ty irlandzki byku! To moja „Fors”, nie twoja!

Był to gruby, z brunatnym grzbietem tom z lat sześćdziesiątych, którym King rzucił raz w głowę Beetle'owi, aby Beetle mógł się dowiedzieć, skąd pochodzi nazwa Gigadibs. Beetle spokojnie anektował tę książkę i znalazł w niej – różne rzeczy. Nie rozumiejąc dobrze książki, spał i jadł z tymi wierszami, jak o tym świadczyły plamy na kartkach. Zapomniał o całym świecie i duch jego obcował z dziwnymi mężczyznami i kobietami, kiedy naraz M'Turk zaczął go tłuc łyżką od sardeli po głowie, tak że aż zawarczał.

---

<sup>40</sup> lombik – lombard. [przypis edytorski]

– Beetle! Jesteś skrzywdzony, znieważony i wykpiony przez Kinga. Czy tego nie widzisz?  
– Dajcie mi spokój. Choćby i tak było, no to cóż? Mogę na niego napisać nowy wiersz.  
– Wariat! Zupełny wariat! – mówił Stalky do gości, jak gdyby pokazywał jakieś nieznanne zwierzę. – Beetle czyta jakiegoś osła, nazwiskiem Browning, M'Turk czyta osła, nazwiskiem Ruskin, i...

– Ruskin nie jest żadnym osłem! – zaprotestował M'Turk. – Jest tak samo dobry jak *Zjadacz opium*<sup>41</sup>. Mówi, że jesteśmy „dziećmi szlachetnych ras, wyrobionymi przez otaczającą nas sztukę”. To się stosuje do mnie i do sposobu, w jaki udekorowałem nasz pokój, gdy wy, dwie pały, poprzybijalibyście tu półki i kartki z życzeniami świątecznymi. Dziecię szlachetnej rasy, wyrobione przez otaczającą cię sztukę, przestań czytać, jeśli nie chcesz, żebym ci nalał oliwy za kołnierz.

– Dwóch przeciw jednemu! – rzekł Stalky groźnie i Beetle natychmiast zamknął książkę, posłuszny prawu, dzięki któremu przeżyli wspólnie sześć wesółych lat.

Goście przyglądali się temu z zachwytem. Pracownia Nr 5 cieszyła się sławą większej i różnorodniejszej występcości niż cała szkoła razem wzięta; w tym stopniu jednak, w jakim prawa jej pozwalały na przyjaźnienie się z postronnymi, była uprzejma i szczerą wobec swych sąsiadów z tego samego piętra.

– I czegoż znowu, do ciężkiej choroby, chcecie? – zapytał Beetle.

– Wojny z Kingiem! – odpowiedział M'Turk, ruchem głowy wskazując na ścianę, gdzie wisiał mały, drewniany, zachodnioafrykański bęben wojenny, dar któregoś z wujów służących w marynarce.

– I znowu wyleją nas z pracowni! – rzekł Beetle, który lubił ten swój kąt. – Za maleńkie gruchanie wylał nas przecie Mason.

Mason to był ów nauczyciel matematyki, który mówił o nich we wspólnej sali nauczycielskiej.

– Wy to nazywacie gruchaniem? O, rety! – wykrzknął Ebenezar. – Kiedyście zaczęli grać na tym piekielnym instrumencie, słowa jednego nie mogliśmy zrozumieć w naszej pracowni! I cóż wam z tego przyjdzie, że się dacie wylać?

– Cały tydzień mieszkaliśmy we wspólnej sali! – dorzucił Beetle tragicznie. – Marziliśmy jak psy.

– Te – ek. Ale odkąd nas wylano, mieszkanie Masona było co dzień pełne szczurów. Tydzień trwało, zanim się domyślił, o co idzie – rzekł M'Turk. – On nie cierpi szczurów. Jak tylko nas wypuścił, szczury zniknęły. Mason ma teraz przed nami trochę boja, ale dowodu nie było.

– Jeszcze by też! – odezwał się Stalky. – Skąd miał być dowód, skoro ja sam wlażem na dach i rzucałem mu te ścierwa przez komin wprost do jego kominka! Ale słuchajcie! Rzec w tym, czy możemy sobie teraz pozwolić na wojnę domową?

– Mną się nie krępujcie! – oświadczył Beetle. – King twierdzi, że ja i tak przekroczyłem już wszelkie granice!

– Co, ty! – odpowiedział Stalky lekceważąco. – Ty, stara babo, do wojska nie idziesz! Ale ja nie chciałbym, żeby mnie wylano – a stary zaczyna na nas też już krzywo patrzeć...

– Guzik! – rzucił M'Turk. – Stary nie wylewa nigdy, chyba tylko za jakieś świństwo albo za kradzież. Ale zapomniałem wam powiedzieć: ty i Stalky *jesteście* złodzieje – prawdziwi włamywacze.

Goście aż jęknęli, ale Stalky z błogim uśmiechem zaczął im tłumaczyć, w czym rzecz.

– Fajno! Widzicie, ten pędrak Manders młodszy widział, jak Beetle i ja otwieramy kufer M'Turka w sypialni, zeszłego miesiąca, kiedyśmy to wzięli jego zegarek. Naturalnie, gwizdek Manders nafagasował<sup>42</sup> Masonowi, zaś Mason pałac się do tego, żeby nam zapłacić za szczury, dał się zbujać.

---

<sup>41</sup> *Zjadacz opium*, ang. *Confessions of an English Opium-Eater* (1821) – autobiograficzna książka Thomasa De Quinceya. [przypis edytorski]

<sup>42</sup> *nafagasować* (daw. pot.) – donieść, naskarżyć. [przypis edytorski]

– I wtedyśmy go dostali! – rzekł M'Turk pieścizotliwie. – Traktowaliśmy go bardzo elegancko, ponieważ był nauczycielem w naszej szkole nowym i pragnął pozyskać zaufanie chłopców. No, i z tego, co zobaczył, wyciągnął, niestety, bardzo smutne wnioski. Stalky był u niego, błagał go, udawał, że się strasznie boi i przysiągł mu, że rozpocznie nowe życie, jeśli mu Mason wybaczy i jakiś czas poczeka – ale Mason nie chciał. Powiedział, że musi pofagasować o wszystkim staremu.

– Mściwy gad! – odezwał się Beetle. – A wszystko przez te szczury! Wtedy i ja zacząłem go błagać, a Stalky wyznał, że dopuszczał się regularnie kradzieży przez sześć lat od samego początku, jak tylko przyszedł do szkoły i że ja go tego nauczyłem *à la Fagin*. Mason aż pozieleniał z radości. Był pewny, że już się mu nie wymkniemy.

– To bajkowe! Jak babcię kocham! – wykrzyknął Dick IV. – A myśmy o tym nie wiedzieli!

– Pewnie, że nie. Mason się tym nie chwalił. Spisał wszystkie nasze zeznania na urzędowym papierze ze stemplem. Było tam wszystko, w co tylko mógł uwierzyć.

– A potem zaniósł to staremu, rozumie się nie bez mówki ze swej strony. Miało ci to około czterdziestu stron – mówił Beetle. – Sam mu pomagałem.

– I cóż dalej, wariaci wściekli? – zapytał Ebenezar.

– Stary nas zawołał do siebie. Stalky poprosił o przeczytanie „zeznań”, ale stary rzucił je do kosza, a nam dał po osiem kijów – odlewanych – za bezczelne zbijanie nowego nauczyciela. Widziałem, jak mu się trzęsły ramiona, kiedyśmy wychodzili. Czybyście pomyśleli – rzekł po chwili zastanowienia – że na następnej lekcji Mason nie mógł na nas spojrzeć, żeby się nie zaczerwienić? A my trzej gapiliśmy się na niego, że aż dygotał. To okropnie wrażliwy gad.

– On czytał *Eryka*<sup>43</sup> – odezwał się M'Turk – wobec czego daliśmy mu Św. *Winifreda*<sup>44</sup> czyli *Życie w kolegium*. Oni tam wciąż puszczają wszystko, co mogą ukraść w szkole św. Winifreda, o ile się nie modlą lub nie urzynają po szynkach. To było przed tygodniem i stary wścieka się trochę na nas. Nazwał to konstruktywnym łajdactwem. Stalky to wszystko wymyślił.

– Nie ma najmniejszego sensu żreć się z nauczycielem, dopóki się nie jest pewnym, że się go może wykiwać i zrobić z niego durnia – rzekł Stalky wyciągnięty wygodnie na dywanie przed kominkiem. – Mason nie znał Numeru Piątego – dziś już wie, z kim ma do czynienia, oto wszystko. A teraz moi drodzy słuchacze – Stalky podkurczył pod siebie nogi, usiadł i zwrócił się do całego towarzystwa – czeka nas bój z tym niezłomnym, upartym Kingiem. Na całe mile zбочzył ze swej drogi, byle tylko wywołać z nami konflikt. – Tu Stalky spuścił na twarz swą czarną jedwabną maskę i mówił tonem sędziego wydającego wyrok śmierci. – Krzywdził Beetle'a, M'Turka i mnie, *privatim i seriatim*, wszystkich razem i każdego z osobna, jak i gdzie mógł nas dopaść. Ale teraz znieważył cały Nr 5 w sali muzycznej, w dodatku w obecności tych podobnych do pomocników fryzjerskich mamusinych synków z Nr. 93! Chłopcy, my mu musimy dać taką szkołę, żeby krzyczał *capivi!*

Lektura Stalky'ego nie obejmowała ani Browninga, ani Ruskina.

– A oprócz tego – dorzucił M'Turk – on jest obrzydliwy filister, wywieszacz koszów. Nosi krawat w kratkę. Ruskin mówi, że człowiek, noszący krawat w kratkę, musi być na wieki potępiony.

– Brawo M'Turk! – wykrzyknął Tertius. – Ja myślałem, że to tylko zwykłe bydlę!

– On *jest* bydlę, rozumie się, ale to jeszcze gorsze. On ma zawieszony w swoim oknie kosz porcelanowy z niebieskimi wstążeczkami i czerwonym kotkiem i w tym koszu sobie hoduje muszkata. Pamiętacie? Kiedy to dostałem wszystkie te stare rzeźby dębowe z kościoła bidefordzkiego, jak go restaurowano (Ruskin mówi, że kto restauruje jakiś kościół, jest skończonym pacerem!), i pozalepiałem je tu klajstrem – otóż widzicie, nadszedł King i zaczął pytać, czy ja tego nie zrobiłem przy pomocy piły otworowej! To król wywieszaczy koszów!

Tu czarny od atramentu wielki palec M'Turka zwrócił się ku dołowi, jak gdyby nad jakąś urojoną areną, pełną zbroczonych krwią Kingów.

---

<sup>43</sup> *Eryk*, ang. *Eric, or, Little by Little* (1858) – powieść Frederika W. Farrara (1831–1903). [przypis edytorski]

<sup>44</sup> *Św. Winifred*, ang. *St. Winifred's* – powieść Frederika W. Farrara (1831–1903). [przypis edytorski]

– *Placeme*<sup>45</sup>, dziecię szlachetnej rasy? – zawołał do Beetle'a.

– Cóż? – zaczął Beetle z wahaniem. – To potomek Beliala, ale ja przecie dam mu jakąś szansę. Widzicie, zawsze przecie mogę mu kazać tańczyć, tak jak mi się w jakimś nowym wierszu zagrać podoba. Pofagasować staremu nie może, bo się przez to jeszcze bardziej ośmiesza. (Stalky ma słuszność). Ale niech i on ma jakąś szansę.

Beetle otworzył leżącą na stole książkę, przejechał palcem stronice i zaczął na chybił trafił:

Lub też kto w Moskwie ku carowi  
Ostrożnym wielce krokiem  
Po białych idzie Kremlu płytach.  
Po serpentynach, syjenitach  
Z pięciu generałami...

– To nie ma sensu. Weź co innego – rzekł Stalky.

– Zaczekaj chwilkę; ja wiem, co jest dalej! – M'Turk czytał przez ramię Beetle'a:

Co równocześnie, jak na złość.  
Pozorów na to było dość!  
Kichnąwszy, ze swych miękkich wstęg,  
Złożonych niby chustki w pęk —

– Rany moje! Co za wyrok!

Zrobili stryczek – no i tak  
Car padł – a nie pozostał znak!

– Nie rozumiem z tego ani słowa – rzekł Stalky.

– Tym gorzej dla ciebie! Zrozumieże! – tłumaczył mu M'Turk. – Tych sześciu drabów udusiło cara, a ponieważ szarfy były miękkie, śladów na szyi nie było. *Actum est*<sup>46</sup> z Kingiem.

– I w dodatku to on sam dał mi tę książkę! – odezwał się Beetle, oblizując wargi:

Galaci mają wielką księgę,  
Tylko ją trzeba znać,  
Dwadzieścia dziewięć w niej wyroków,  
Nie ten – to drugi snac!

A potem ni stąd, ni zowąd:

Setebos! Setebos! I jeszcze raz; Setebos!/ Myślał, że mieszka na  
mroźnym księżycu...

– Właśnie wraca z obiadu! – rzekł Dick IV, spojrzawszy przez okno. – Manders młodszy idzie z nim razem.

– Istotnie, najbezpieczniejsze dla Mandersa młodszego w tej chwili miejsce – zauważył Beetle.

– Teraz lepiej, żebyście się już wynosili – rzekł Stalky grzecznie do swych gości. – Po co się macie mieszać do tej awantury. Prócz tego – my nie potrzebujemy świadków.

---

<sup>45</sup> *placeme* (łac.) – zgadza się? [przypis edytorski]

<sup>46</sup> *actum est* (łac.) – tu: to samo stanie się. [przypis edytorski]

– Czy zaczynacie natychmiast? – zapytał Aladyn.

– Natychmiast, jeśli nie prędzej! – odpowiedział Stalky, skracając gaz. – Twarde, uparte chłopisko, ten King. Ale my go nauczymy wołać *capivi!* No, dalej, Antki!

Towarzystwo pełne oczekiwania wycofało się do swego własnego, czystego i obszernego pokoju.

– Kiedy Stalky'emu zaczynają nozdrza latać jak koniowi – mówił Aladyn do Cesarza Chińskiego – to znaczy, że jest na ścieżce wojennej. Ciekawy jestem, jak się to skończy?

– King dostanie szkołę – odpowiedział cesarz. – W ogóle, z Nr. 5 żartów nie ma!

– Swoją drogą zastanawiam się nad tym, czy ja to mam przyjąć urzędowo do wiadomości, czy nie – rzekł Ebenezar, który przypomniał sobie naraz, że jest prefektem.

– To nie nasz interes, Kiciu. A prócz tego, gdybyś to zrobił, mielibyśmy w nich wrogów, a wtedy już nie można by wytrzymać – mitygował go Aladyn. – Oho, już zaczynają!

Zachodnioafrykański bęben zahuczał we wszystkich wyjściach i sieniach. Numerowi Piątemu zakazano powoływać do życia tę maszynę na odległość donośności głosu od liceum. Wbrew temu zakazowi głęboki, miazdzący grzmot napełnił korytarze, kiedy M'Turk i Beetle z właściwą sobie znajomością rzeczy zaczęli masować środek bębna. Grom ten zmienił się wkrótce w dźwięk trąb – dzikich trąb, nawołujących do pościgu, po czym, gdy M'Turk zaczął uderzać w jedną stronę, gładką od krwi ofiar, przeszedł w urywane, porykujące wycie, jakie wydaje raniony goryl w swej ojczystej puszczy. Nastąpił natychmiast wybuch gniewu Kinga – zbiegł po trzy schody na raz na górę z suchym szelestem ubrania. Podsluchujący Aladyn i towarzysze pisnęli z emocji, kiedy drzwi z hałasem otwarto. King wtoczył się w ciemności, przeklinając koncertantów w imię Beliala i wszystkich bogów spokoju.

– Wyrzuceni na tydzień z pracowni – rzekł Aladyn, zaglądając przez uchylone drzwi. – „Klucz od pracowni przynieść w ciągu pięciu minut. Brutale, barbarzyńcy, dzikusy, smarkacze!” Jest bardzo zirytowany. „Arrah, Patsy, dziecku patrz!” – zanucił szeptem i wisząc u klamki, wykonał niedosłyszalny taniec wojenny.

King natychmiast zbiegł na dół i Beetle wraz z M'Turkiem zapalili gaz, aby naradzić się ze Stalky'm. Ale Stalky zniknął.

– Zdaje się, że to jeszcze nie koniec – mówił Beetle, zbierając swe książki i pudełko z przyrządami do geometrii. – W każdym razie tydzień we wspólnej sali to żaden zysk.

– Pewnie, ale czy nie widzisz, że Stalky'ego tu nie ma, cymbale jeden? – rzekł M'Turk. – Zanieś klucz i udawaj, że jesteś bardzo zmartwiony. King będzie cię tylko piłował przez jakieś pół godziny. Ja tymczasem będę czytał w niższej sali wspólnej.

– Zawsze ja! – jęknął Beetle.

– Poczekaj, zobaczymy, co będzie dalej! – dodawał mu otuchy M'Turk. – Ja sam nie wiem, czego Stalky chce, ale on wie, co robi. Idź i ściągnij na siebie ogień Kinga. Ty jesteś już do tego przyzwyczajony.

Ledwo klucz przekreślił się w drzwiach, podniosło się powoli wieko skrzyni na węgiel, stojącej pod oknem, a służącej za fotel. Ciasna to była kryjówka nawet dla tak giętkiego chłopca jak Stalky, który musiał w niej siedzieć z głową między kolanami i z brzuchem przy prawym uchu. Z szuflady stołu wyjął starą procę, garść śrutu i drugi klucz od pracowni, potem podniósł po cichu okno i ukląkł przy nim, z twarzą zwróconą ku gościńcowi, drzewom poruszonym wiatrem, ciemnej równi królikami i białej linii fal kłębiących się wzdłuż płaskiego brzegu. Z daleka, z biegnącego urwistym wąwozem dewonszyrskiego gościńca słychać było chrapliwy pogłos rogu pocztyliona. Był w tym cień melodii, jak gdyby wiatr w butelce od wina próbował śpiewać: „Tak to jest w naszej armii”.

Stalky uśmiechnął się zaciśniętymi wargami i rozpoczął ogień z wielkiej odległości; stara szkapa aż się wykręciła w zaprzęgu.

– Ta co je, du chulery? – zawołał Króliczy Bobek głosem przerywanym przez czkawkę.

Znowu śrut ze złośliwym skomleniem gwizdnął przez zetlałe boki płóciennej budy.

– *Habet*<sup>47</sup>! – mruknął Stalky, kiedy Króliczy Bobek kłął w cierpliwą noc, przysięgając, że widzi przeklętego studenta, który go tak podstępnie napadł.

\*

– I tak – mówił King swym mózgowym głosem do Beetle'a, nad którym się znęcał w obecności Mandersa młodszego, wiedząc dobrze, jak uczenia piątej klasy boli, gdy się go wyśmiewa przed mikrusami – i tak, mistrzu Beetle, mimo wszystkich naszych wierszy, którymi się tak pyszimy, jak tylko ośmielimy się wejść w konflikt, choćby z tak nic nieznaczącym przedstawicielem władz szkolnych, jak na przykład ja, wylatujemy ze swej pracowni, czy tak?

– Tak jest, prosz pampsora! – odpowiedział Beetle z baranim uśmiechem na twarzy i wściekłością w sercu. Był już bliski utraty wszelkiej nadziei, ale pocieszał się jeszcze dobrze uzasadnioną wiarą, że Stalky nigdy nie jest tak niebezpieczny, jak wówczas, gdy go nie widać.

– Nikt się nie prosi ani o krytykę, ani o uznanie. Otóż – zostaliśmy wydaleny ze swej pracowni zupełnie jak pierwszy lepszy Manders *minor*<sup>48</sup>. To trudno! Nie jesteśmy niczym innym jak tylko smarkatymi sztubakami i musimy być odpowiednio, jako tacy, traktowani!

Beetle nadstawił uszu, bo Króliczy Bobek kłął na gościńcu bez pamięci i niektóre jego wyzwiska trafiły przez lufcik do pokoju. King wierzył w wentylację. Podszedł ku oknu majestatyczny, jak zwykle, w czarnym ubraniu, zupełnie widoczny w świetle gazu.

– Ja ci widzy! Ja ci widzy! – ryczał Króliczy Bobek rozwścieczony widokiem wroga – znowu salwa śrutu z ciemności na górze. – Ty, ty, z tą długą trąbą, żebrak kaprawy! Ta ty za stary na takie psie figle – aj! ja ci mówim, weź okład na swój nochal, weź okład na swój długi nochal!

A w Beetle'u serce aż zamarło. Gdzieś, w jakiś sposób, wiedział to już na pewno, za tymi manifestacjami krył się Stalky. Była nadzieja i prawdopodobieństwo zemsty. Radę dotyczącą nosa uwieczni w nieśmiertelnym wierszu. King podniósł okno i zgromił surowo Króliczego Bobka. Ale furman był bez trwogi i zmayı. Zlazł z wozu i stanął przy drodze.

A potem przyszło jedno po drugim, wszystko jak we śnie. Manders młodszy z krzykiem złapał się za głowę, gdy kanciasty krzemień odbił się od trzech bogato w cięłą skórę oprawnych tomów na półce z książkami. Drugi krzemień szurnał przez całe biurko. Beetle z udaną gorliwością chciał go złapać, ale usiłowania jego zostały uwiecznione tylko przewróceniem lampy naftowej, z której nafta polała się *via*<sup>49</sup> papiery Kinga na parę jego ulubionych książek i perski dywan na ziemi. Dużo było potłuczonego szkła dokoła krzesła pod oknem; porcelanowy kosz – awersja M'Turka – rozbity w strzępy, wysypał swój muszkat wraz z ziemią na czerwone, rypsose poduszki; Manders *minor* krwawił obficie z ciętej rany na kości policzkowej, zaś King, używając okropnych słów, z których każde Beetle skwapliwie notował sobie w pamięci, wybiegł na poszukiwania sierżanta szkolnego, chcąc natychmiast osadzić Króliczego Bobka w więzieniu.

– Biedne dziecię! – odezwał się Beetle z fałszywym, udanym współczuciem. – Pozwól, aby się to trochę wykrwawiło. To najlepiej zapobiega apopleksji.

Tak prowadząc ku drzwiom wyjącego Mandersa, umiejętnie przytrzymywał jego oślepioną przez krew głowę to nad biurkiem, to nad zeszytami na biurku.

A wówczas Beetle, sam wobec całego pogromu, odwzięczył się pięknym za nadobne. W jaki sposób w tym pokoju cały komplet „Gibbona”<sup>50</sup> miał grzbiety podarte jak gdyby ostrym krzemieniem; w jaki sposób takie mnóstwo czarnego i fioletowego atramentu zmieszało się na biurku z krwią

---

<sup>47</sup> *habet* (łac.) – ma; tu: dostał, trafiony. [przypis edytorski]

<sup>48</sup> *minor* (łac.) – mniejszy, młodszy. [przypis edytorski]

<sup>49</sup> *via* (łac.) – przez, poprzez. [przypis edytorski]

<sup>50</sup> *Edward Gibbon* (1737–1794) – brytyjski historyk, autor książki *The History of the Decline and Fall of the Roman Empire* (*Dzieje i upadek Imperium Rzymskiego*). [przypis edytorski]

Mandersa; w jaki sposób wielka butelka z gumą arabską, odkorkowana, potoczyła się półkolem po podłodze i w jaki sposób porcelanowa klamka u drzwi pokryła się jeszcze obficie krwią Mandersa, to były rzeczy, których, oczywiście, Beetle nie tłumaczył, kiedy doprowadzony do wściekłości King wrócił i zastał go stojącego grzecznie na tłącym się dywanie, rozłożonym przed kominkiem.

– Pampsor nie kazał mi odejść – rzekł z miną Casabianki i King wysłał go w ciemności piekielne.

On jednak, chcąc wyładować radość, która go rozsadzała, podążył na parter ku małej szatni, gdzie czyszczono trzewiki. Ledwie jednak zaczerpnął oddechu, aby wydać pierwszy okrzyk triumfu, dwie ręce ścisnęły go za gardło, tak że ani głosu wydać nie mógł.

– Idź do sypialni i przynieś mi moje rzeczy. Przynieś je do łazienki piątej klasy. Ja jestem wciąż jeszcze w trykotach! – zasyczał Stalky, siedząc mu na głowie. – Nie leć! Idź powoli.

Ale Beetle wtoczył się do sąsiedniej klasy i wydelegował M'Turka, nie wiedzącego jeszcze o historycznym *precis* dotychczasowego przebiegu kampanii. Tak tedy to M'Turk o drewnianej twarzy przyniósł ubranie z sypialni, podczas gdy Beetle dyszał ciężko na ławce. A potem wszyscy trzej ukryli się w łazience piątej klasy, poodkręcali kurki, napełnili łazienkę parą i płacząc wskoczyli do wanien, gdzie opowiadali sobie szczegóły bitwy.

– *Moi! Je! Ich! Ego!* – sapał Stalky. – Czekałem, póki własnych myśli już słyszeć nie mogłem, kiedyście wy bili w bęben! A potem schowałem się w pace na węgiel – postrzeliłem Króliczego Bobka – a Króliczy Bobek zrobił Kingowi pogrom. Słyszeliście, jak szkło dzwoniło?

– Jakże, przecie on – on – on – piszczał M'Turk, drżącym palcem wskazując na Beetle'a.

– Jakże, przecie ja – ja – ja byłem przez cały czas – zawył Beetle. – Byłem w jego gabinecie, urągał mi...

– O, rany boskie! – krzyknął Stalky i zniknął pod wodą.

– Szkło – szkło, to jeszcze nic. Mandersowi młodszemu rozbił głowę. Na... na... nafta z lampy rozlała się po całym dywanie. Krew na książkach i papierach! Guma! Guma! Guma! Atrament! Atrament! Atrament! O, Boże!

Stalky, cały czerwony, wyskoczył z wanny i trzęsąc Beetle'em starał się doprowadzić go do równowagi; ale to opowiadanie znowu zbiło ich z nóg.

– Ja ukryłem się w komórce, jak tylko usłyszałem, że King biegnie na dół. Beetle wpadł na mnie. Drugi klucz jest schowany za tablicą. Nie ma cienia czegoś takiego, co by świadczyło przeciw nam – rzekł Stalky.

Przez chwilę śpiewali sobie wzajemne hymny pochwalne.

– I w dodatku on sam – sam – sam nas z pracowni wyrzucił! – odkreślił M'Turk. – Choćby chciał, nie może nas podejrzewać. Och, Stalky, to najpiękniejszy czyn, jakiegośmy kiedykolwiek dokazali.

– Guma! Guma! Ocean gummy! – wołał Beetle z okularami żarzącymi się spoza morza mydlin. – Atrament i krew, wszystko razem pomieszanе. Potrzymałem przez chwilę głowę tego bydlaka nad łacińskim zadaniem szkolnym na poniedziałek – Boże, jak nafta śmierdziała! A Króliczy Bobek kazał Kingowi wziąć okład na nochal! Stalky, trafiłeś Króliczego Bobka?

– Ja myślę! Pociąłem go od stóp do głów! Nie słyszeliście, jak kłął. Ojej, skonam, jeśli nie przestaniecie!

Ubrali się z trudnością, bo M'Turk musiał przecie zatańczyć, dowiedziawszy się, iż kosz porcelanowy z muszkatem stłukł się, a prócz tego Beetle przytaczał różne wyrażenia Kinga z poprawkami i komentarzami.

– Okropność! – zawołał Stalky, omdlewając podczas szamotania się z na pół wciągniętymi spodniami. – I w dodatku w obecności tak niewinnych chłopców jak my! Co by o tym powiedziano w szkole Św. *Winifreda* lub w „Świecie szkoły”? Ale czekajcie no! To mi przypomina, żeśmy jeszcze nie zapłacili trzeciej przygotowawczej za napaść na Beetle'a, kiedy on się rozprawił z Mandersem młodszym. To „alibi”, Samiwelu! A oprócz tego, jeśli im za to nie zapłacimy, staną się niemożliwi!

Trzecia przygotowawcza postawiła przed swą salą wartę, która stała całą godzinę, co dla małego chłopca znaczy wieczność. Teraz chłopcy zajęci byli swymi zwykłymi sobotnimi sprawami – jedni gotowali na gazie wróble z rdzawymi dziobami, drudzy warzyli w fajansowych słojach aptekarskich jakieś paskudne trunki, inni przy pomocy scyzoryków ściągali skórę z kretów lub obserwowali swe jedwabniki, a jeszcze inni rozprawiali o niegodziwościach starszych ze swobodą, łatwością i dowcipem, który w podziw wprowadziłby ich rodziców. Cios spadł bez ostrzeżenia, Stalky przewrócił ławkę pełną mikrusów i wysypał ich na ich własne utensylia kuchenne; M'Turk szalał w niechlujnych szafach jak terier w jamie króliczej, podczas gdy Beetle skrapiał obficie atramentem wszystkie głowy, których nie mógł dosięgnąć *Klasycznym słownikiem* Smitha. Trzy krótkie minuty zrujnowały niemało jedwabników, ulubionych larw, wypracowań francuskich, czapek szkolnych, na pół spreparowanych czaszek i kości i z pół tuzina słoików pełnych własnego wyrobu konfitur z tarniny. Było to spustoszenie straszne, a sala wyglądała, jakby przez nią przeleciały trzy burze z trzech przeciwnych stron.

– Phi! – sapnął Stalky, odetchnąwszy głęboko, kiedy się znalazł za drzwiami (wśród jęków „Och, wy łotry, wam się zdaje, że to bardzo dowcipne” itd.). – Teraz jest wszystko w porządku. Niechaj słońce nigdy nie zachodzi nad naszym gniewem. A to cymbały, te mikrusy! Nie umieją jeszcze kombinować.

– A siadło mi ich na głowie sześciu, kiedy przyszedł po Mandersa młodszego! – odezwał się Beetle. – Przestrzegałem, że dostaną lanie!

– Zapłaciliśmy wszystkim, jak należało – co za cudne uczucie! – rzekł M'Turk zamyślony, kiedy szli korytarzem. – Zdaje mi się jednak, że o Kingu lepiej dużo nie mówić, no nie, Stalky?

– Nie za dużo. Nasza pozycja to, rozumie się, pokrzywdzona niewinność – tak samo jak wtedy, kiedy to stary Foxibus oskarżył nas o palenie w lokalu Łowców Pluskiew. Gdybym nie wpadł na myśl kupienia pieprzu i posypania nim naszych ubrań, byłby nas wyniuchał. King był wtedy straszliwie komiczny. Przez tydzień przezywał nas wypychaczami ptaszków.

– Ba, King nie znosi Towarzystwa Historii Naturalnej, dlatego że jego prezesem jest mały Hartopp. Wszystko, co się robi w budzie, powinno być ku większej chwale Kinga – zaznaczył M'Turk. – Ale swoją drogą, skończonym osłem trzeba być, żeby myśleć, że my w naszym wieku zaczniemy wypychać ptaki jak jakie mikrusy.

– Biedny, stary King! – westchnął Beetle. – Jego we Wspólnej Sali nie lubią i będą mu teraz wciąż Króliczy Bobek pod nos pchali. Boże! Co za rozkosz! Jak to cudnie! Jak wspaniale! Ach, żebyście go byli widzieli, jak pierwszy kamień wleciał! I ta ziemia!

I znowu śmiech na kilka minut ich obezwładnił.

Wreszcie udali się do pracowni Ebenezara, gdzie ich jednak przywitano chłodno.

– Co się stało? – zapytał Stalky, wyczuwszy w tej chwili nową atmosferę.

– Sami najlepiej wiecie! – odpowiedział Ebenezar. – Jeśli was złapia, wyleją was z pewnością. King to mściwa bestia.

– Co? Jak? Gdzie? Wylać? Za co? Cóżemy zrobili? Graliśmy tylko na bębnie i za to King już nas wylał z pracowni!

– A niby to nie wy spiliście Króliczego Bobka i podpłaciliście go, żeby zdemolował mieszkanie Kinga?

– Podpłacili? Co to, to nie, mogę przysiąc, żeśmy tego nie zrobili! – odpowiedział Stalky z ulgą, bo nie lubił kłamać. – Jakiż ty masz niski sposób myślenia, Kiciu! Myśmy byli w łazience na dole i kapaliśmy się. Czyżby istotnie Króliczy Bobek zdemolował mieszkanie Kinga? Niezłomnego, upartego Kinga? To straszne!

– Okropne! King aż się pieni! Dzwonią na modlitwę. Chodźmy.

– Zaczekaj chwilę! – zawołał Stalky, prowadząc rozmowę dalej donośnym i wesołym głosem, kiedy schodzili po schodach. – I za cóż to Króliczy Bobek zdemolował Kingowi mieszkanie?

– Ja wiem – rzekł Beetle, gdy mijali otwarte drzwi pokoju Kinga. – Byłem właśnie w jego gabinecie.

– Cicho, ty ośle jeden! – syknął Cesarz Chiński.

– Och, on już poszedł na modlitwę! – mówił Beetle, obserwując cień nauczyciela na ścianie.

– Króliczy Bobek, urżnięty trochę, klął na swą szkapę. King zaczął mu urągać przez okno, a wtedy Króliczy Bobek zdemolował mieszkanie Kingowi.

– Jak to? – odezwał się Stalky. – To niby, twoim zdaniem, King zaczął pierwszy?

King znajdował się za nimi, a każde dobrze odważone słowo leciało klatką schodową jak strzała.

– Ja mogę przysiąc tylko na jedno – ciągnął Beetle – że King klął jak mularz. – Po prostu – ohyda! Muszę o tym napisać do ojca.

– Lepiej powiedz o tym Masonowi – poddał Stalky. – On zna naszą wrażliwość na tym punkcie. Zaczekajcie chwileczkę, sznurowadło mi się rozwiązało.

Chłopcy z sąsiedniej pracowni pobiegli naprzód. Nie chcieli się dać wciągnąć w scenę tego rodzaju. Tak więc M'Turkowi przypadło w udziale dojść do ostatecznej konkluzji pod działami przeciwnika.

– Widzicie! – mówił Irlandczyk, wisząc na poręczy schodów. – Zaczyna naprzód z mikrusami. Potem zaczyna z chłopcami z wyższego gimnazjum, a potem zaczyna z ludźmi, którzy nie mają z budą nic wspólnego – a potem się z tym kryje. Dostał, co mu się należało. – Przepraszam pampsora. Nie widziałem, że pampsor idzie.

Czarny strój zaszumiał jak chmura gradowa, a tuż za nim rzędem trupa Aladyna, wzięwszy się pod rękę, maszerowała wielkim korytarzem na modlitwę, śpiewając z jak najniewinniejszą intencją:

Arrah, Patsy, pilnuj dziecka! Patsy, dziecka swego patrz!  
Pięknie otul je kołderką, bo znów będzie straszny płacz!  
Arrah, Patsy, pilnuj dziecka, choć przez chwilę na nie bacz,  
Bo noc całą krzyżeć będzie! Patsy, swego dziecka patrz!

## Niesmaczny epizod

Któraś z ciotek Stalky'ego, stara panna, przysłała mu obie te książki z napisem: „Najdroższemu Artie w dzień ukończenia szesnastu lat”. M'Turk zażądał ich zastawienia; zaś Beetle wróciwszy z Bideford, rzucił je na okno pracowni Nr 5 i oświadczył, że Bastable za obie książki nie chce dać więcej niż dziewięć szóstek, mówiąc, iż *Eryk* to taka sam piła jak *Św. Winifred*.

– Nie mogę powiedzieć, żebym miał zbyt wysokie wyobrażenie o twej ciotce i to właśnie teraz, kiedy nam prawie zupełnie wyszły naboje – Artie, złotko moje!

Wobec czego Stalky wstał, aby go nauczyć moresu, ale M'Turk siadł Stalky'emu na głowie i przezywając go „niewinnym chłopcem”, siedział tak długo, dopóki nie zawarli pokoju. A ponieważ mieli przykre zaległości w łacinie, ponieważ było właśnie wyiskrzone lipcowe popołudnie i ponieważ właściwie powinni byli być na meczu palantowym swej klasy, zaczęli odnawiać swą znajomość, znajomość zażyłą a wszeteczną z obu grubymi tomami.

– Otóż mamy! – odezwał się M'Turk. – Kara cielesna wywierała na Eryku wpływ jak najgorszy. Nie wywołała w nim bynajmniej uczucia skruchy i żalu – zapamiętaj to sobie, Beetle – lecz uczucie wstydu i niesłychanego oburzenia. Zgrzytał zębami z gniewu – o, niepoczciwy Eryku! – weźmy teraz to miejsce, gdzie on idzie pić.

– Zaczekaj chwilkę. Tu jest drugi jeszcze przykład. „Szósta klasa – powiada – stanowi palladium każdej szkoły publicznej”. Ale ta hołota – tu Stalky zamknął głośno złożoną książkę – nie może zapobiec temu, żeby ich koledzy nie pili, nie kradli, nie wypuszczali w nocy mikrusów przez okno i – i nie robili, co się im podoba. Psiakrew, co za szkoda, żeśmy nie chodzili do *Św. Winifreda*.

– Przykro mi bardzo, że chłopcy z mej klasy tak mało interesują się swymi meczami!

Mr. Prout, jak chciał, umiał chodzić bardzo cicho, co w oczach chłopca nie jest żadną cnotą. Prócz tego otworzył szeroko drzwi do pracowni bez pukania – druga zbrodnia – i przyglądał się im podejrzliwie.

– Bardzo mi przykro, że muszę patrzeć, jak gnijecie w swoim pokoju.

– Byliśmy na spacerze zaraz po obiedzie, prosz pampsora – odpowiedział znużonym głosem M'Turk.

Mecze są do siebie podobne, jak dwie krople wody, a oni w ostatnim tygodniu zajmowali się przypadkiem strzelaniem królików z pistoletu flobertowego.

– Ja nie widzę, jak piłka leci, prosz pampsora! – tłumaczył się Beetle. – Tyle razy rozbijano mi przy siatce okulary, aż mnie wreszcie zwolniono. Jeszcze jako mikrus byłem w palancie do niczego, prosz pampsora.

– Wolelibyście, oczywiście, napychać się. Jeść i pić. Dlaczego was trzech nie obchodzi nic a nic honor klasy?

Słyszeli to zdanie często aż do znudzenia. „Honor klasy” był słabym punktem Prouta i chłopcy wiedzieli dobrze, gdzie mogą go ukłuć do żywego.

– Jeśli pan profesor każe nam iść na mecz, rozumie się, pójdziemy! – rzekł Stalky z irytującą uprzejmością.

Ale Prout wolał nie kazać. Kiedy raz tego spróbował podczas jakiegoś wielkiego meczu, trzech intryganci, odsunawszy się od swych kolegów, przez pół godziny stali w pozycji „bacność” wobec wszystkich zgromadzonych gości, podczas gdy podmówione mikrusy przedstawiały ich jako ofiary tyranii Prouta. A Prout był bardzo drażliwy.

Podczas niesłychanie jadowitych pogadarek w sali nauczycielskiej King i Macréa, koledzy Prouta, przekonywali go stale, że jedynym zbawieniem chłopców jest tylko sport i nic jak sport. Uczniowie zaniedbani to uczniowie straceni. Musi się ich nagiąć do ram wspólnej dyscypliny. Gdyby Prouta pozostawiono w spokoju, dałby sobie z pewnością wcale dobrze radę ze swymi podwładnymi, na jego nieszczęście nie dawano mu nigdy spokoju, a jego uczniowie dzięki właściwemu młodzieży,

szatańskiemu darowi jasnowidzenia, doskonale wiedzieli, komu zawdzięczają te jego napady gorliwości.

– Czy mamy iść na dół, prosz pampsora? – zapytał M'Turk.

– Nie mam bynajmniej zamiaru zmuszać was do robienia tego, co stanowi najwyższą przyjemność przyzwoitego chłopca. Bardzo mi przykro.

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.